

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie Ra. 7 kop. —
 Półrocznie 3 „ 50
 Kwartalnie 1 „ 75
 Miesięcznie „ — „ 60

Za odnośnienie do domu
 dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego au-
 meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie Ra. 9 kop. —
 Półrocznie „ 4 „ 50
 Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld.—18 m.
 Półrocznie . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
 tor Redakcyi po kop. 10 za
 wiersz petitowy lub za je-
 go miejsce. Reklamy po
 kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
 BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
 zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Bank ziemski w Poznaniu.

Antysemityzm Głosu, przez J. K. Potockiego.

Kolonije w Brazylii, przez J. L. P.

Z dziedziny wychowawczej, przez M. Brzezińskiego.

Romans astronomiczny, przez F. Jabłczyńskiego.

Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza.

Głosy: Komisya szkolna.—Stała wystawa.—Z listu Dyga-
 sińskiego.—Uzupełnienie.

Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego.

Korespondencyja: z gub. wołyńskiej, przez Edwarda
 Paszkowskiego.

Przegląd społeczny: Łódź, Łomża, Radzymin, Konin,
 Z kaliskiego, Płock, Mińsk gubernijalny, Petersburg, Kraków,
 Lwów.

Przegląd polityczny.

Kronika powszechna.

Odpowiedzi od redakcyi.

Ogłoszenia.

Odcinek: Pokusa z cyklu odruchów.

W dodatku: Sposób d-ra Heidenhoffa, napisał Edward
 Bellamy. (Ciąg dalszy).

Bank ziemski w Poznaniu.

II.

Z drugiej strony wydzielenie prac parcelacyjnych i przekonanie ich strony organizacyjno-administracyjnej odrębnemu ciału okazało się koniecznym, i w tym celu założoną została spółka ziemiska w Poznaniu, a druga także założoną będzie niebawem w Toruniu. Nie tutaj miejsce, konieczność tego kroku teoretycznie uzasadniać, i w tym względzie zniewolony jestem szanownego autora artykułu w *Głosie* odesłać do znanej broszury p. dr. Kalksteina z roku 1887. „Położenie nasze, a Ustawa o kolonizacyi niemieckiej z dnia 26 kwietnia r. 1886. Tamże (specyjalnie na stronie 51) przekonanie się może, (jeżeli zdanie swego co do mylnych dróg banku ziemskiego nie zmienię) że przynajmniej nie świeżo i nie pod maską bank ziemski wszedł na błędne tory, ale kroczy niemi otwarcie tak dawno, jak p. dr. Kalkstein zasiada w gronie jego kierowników.

Praktycznie wykazaną jest konieczność wydzielenia organicznej pracy parcelacyjnej w sprawozdaniu banku ziemskiego, do którego też dołączone są ustawy spółki ziemskiej. Przyznaję się, że niezrozumiałem jest dla mnie najzupełniej, dla czego najważniejszy ten krok w dotychczasowym rozwoju działalności bankowej przeszedł dla pana J. L. P. niepostrzeżenie. Gdyby był raczył nań zwrócić uwagę, byłby musiał zauważyć, że praktycznymi motywami kierowników banku ziemskiego były: wyemancypowanie społecznej pracy kolonizacyjnej z pod wpływów jednostronnego interesu wielkiej własności; uchylenie nieuniknionej kolizyi pomiędzy interesem towarzystwa akcyjnego, jako instytucyi finansowej, a interesem sił ekonomicznych, ubiegających się o utrzymanie lub zdobycie ziemi—i skoncentrowanie sił banku ziemskiego na właściwym dla

niego, jako towarzystwa akcyjnego, polu działania, w pracy finansowej. (3)

Te widoczne ze sprawozdania intencje kierowników banku ziemskiego już właściwie powinny ich były ustrzedz przed posądzeniem o wyzyskiwanie „krwawicy chłopskiej” i o „zamaskowaną filantropiję szlachecką.” Ale nieuprzedzony krytyk, chociażby nie zgłębił ducha sprawozdań bankowych, lecz sądził tylko z cyfr pojedynczo wyrwanych, jednak nie może zarzutu powyższego wysnuć z przytoczonych przez p. J. L. P. obserwacyj, że bank ziemski zarobił na parcelacyjach 20,000 m. i zyskami dzielił się z dziedzicami, t. j. zdaniem p. J. L. P. z bankrutującą szlachtą.

Przedewszystkiem konstatuje, że zyski, które weszły do ostatniego bilansu, pochodzą z 8 parcelacyj gospodarstw nie szlacheckich, lecz włościańskich; a zatem zysk z tych interesów przypadł nie szlachcom, lecz włościanom w udziale. Ale chociażby ci biorący udział w zyskach właściciele byli szlachtą, to jeszcze fakt ten nie byłby dowodem jakiejś filantropii szlacheckiej. Wiadomo bowiem, że bankowi ziemskiemu nie wolno podług ustaw parcelować na własny rachunek; parcelując z plenipotencyi na rachunek dziedzica, zmuszony jest całą przewyżkę dochodów ponad długi majątkowe, włącznie z zyskami, oddać dziedzicowi, zastrzegając sobie pewne tylko wynagrodzenie za swoją pracę; prócz tego nie ma sposobu, zniewolenia dziedzica, aby tenże nie przyjmował od nabywców parcel cen wyższych, niż je unormował bank ziemski. Dla tego bank ziemski, tak w interesie własnym, jak i nabywców parcel, przyjął metodę, że kontraktownie zobowiązywał dziedzica do zaakceptowania pewnej minimalnej ceny i zadowolenienia się połową przewyżki, wynikającej ze sprzedaży parcel ponad minimalną cenę. Tym sposobem, otwierając widoki ewentualnego jeszcze zysku, nakłaniał bank ziemski dziedzica do ustanowienia możliwie najniższej ceny, z drugiej strony zastrzegał sobie możliwość normowania jak najprzystępniejszych cen dla nabywców parcel. W takiej procedurze chyba zła wola dostrzedz może filantropiję szlachecką. (4)

Ale i cyfry, przytoczone przez pana J. L. P., nie dopuszczają nawet cienia podejrzenia, jakoby bank ziemski wyzyskiwał krwawicę chłopską. Pozór ten wywołuje pan J. L. P. tylko bałamutnym zestawieniem cyfr, porównywając cyfry, jakie płaciła komisya kolonizacyjna, kupując ziemię (przeciętnie 150 m. za morg) z cenami, jakie uzyskiwał bank ziemski, sprzedając parcele (173 m.).

Otóż nie wypadło szanownemu krytykowi przemilczeć, że ceny, za które bank ziemski przyjmował do parcelacyi majątki, wynosiły tylko 146 m. za morg, a więc w przecięciu o 4 m. na morgu mniej od cen komisji kolonizacyjnej. Również należało wypośrodkować, w jakiej cenie komisya kolonizacyjna sprzedaje parcele i tę cyfrę porównać z uzyskaną przez bank ziemski ceną 173 m. za morg.

Przyznaję się, że cyfry tej przeciętnej nie znam, bo sprawozdanie komisyjne jej nie podaje. Ale wie się prywatnie, że cena ta dochodzi do znacznie wyższej cyfry i zewsząd

słyszany się tylko o niezadowoleniu kolonistów niemieckich i o ambarasie komisji, skąd brać reflektantów na parcele. Natomiast zapewnić mogę, że zadowolenienie nabywających parcele od banku ziemskiego jest zupełne, a popyt o parcele bardzo jest znaczny i ciągle wzrasta. Rzecz to bardzo naturalna: za gospodarstwa, ofiarowane bankowi ziemskiemu przez włościan w obszarze 2,877 hektarów, cena żądana wynosiła 2,278,271 m., co czyni za morg przeszło 200 m.; tymczasem od banku ziemskiego chłop nabywał parcele po 173 m. za morg, a zatem przeciętnie o 27 m. na morgu taniej, niżby mógł nabyć ziemię wprost od sąsiada. (5)

Zresztą, gdy się uwzględni z jednej strony znaczne koszta parcelacyjne, gdy z drugiej strony zważy się, że w zyskach banku ziemskiego zawarte są dochody ze sprzedaży inwentarzy, budynku, żniw i t. p. superfluwów, pozostających przy parcelacyi.

Każdy, znający tutejsze stosunki, przyzna, że wykrzykniki pana J. L. P. o krwawicy chłopskiej są niewłaściwe.

Gdyby te wszystkie argumenty nie zdołały jeszcze przekonać pana J. L. P., powinien ostatecznie znaleźć zaspokojenie we faksie założenia spółki ziemskiej, która, parcelując na własny rachunek i rozdzielając cały swój czysty zysk pomiędzy nabywców parcel, nie zostawi już bankowi ziemskiemu pola do podejmowania interesów, któreby zmorę filantropii szlacheckiej, lub krwawicy chłopskiej wywoływać mogły. (6)

W końcu dotknąć jeszcze muszę innych zarzutów pana J. L. P., natury pobocznej, a dotyczących technicznej strony kierownictwa banku ziemskiego.

Pan J. L. P. zdaje się upatrywać opieszałość i brak energii kierowników banku ziemskiego w tej okoliczności, że ani połowy kapitału nie użyto na parcelacyję. Nie wdając się w traktaty o potrzebie rezerw bankowych, zaznaczam tylko, że pan J. L. P. i tutaj bałamutnie podał zestawienie cyfr. Kapitału bowiem zakładowego miał bank ziemski z początkiem roku obrachunkowego tylko 598,020 m. zwrotu pieniędzy z parcelacyi w pierwszym zaraz roku przewidzieć nie było można; zresztą więcej niż czwarta część zwróconych pieniędzy przeszła na rachunek hipotek gruntów rozparcelowanych, i tam na długie lata ugrzęzła; dalej na rozpoczęte parcelacyje potrzebne były wykłady bardzo znaczne, które dopiero następny bilans wykaże. Wobec tego wszystkiego byłoby nieroztropnem, gdyby bank ziemski był się rzucił na większe obszary parcelacyjne, niż 10,000 morgów.

Podejrzenie o niudane spekulacyje na kursie papierów, które w szerszej publiczności powstaje może z powodu strat na listach zastawnych, a którego pan J. L. P. nie odpiera, chociaż nie daje mu wiary—zdaniem mojem nie może mieć miejsca u tych, co wiedzą, że podług prawa handlowego do bilansu przyjąć trzeba papiery, w kasie będące, po kursie, jakimi notuje giełda w ostatnim dniu roku obrachunkowego. Kurs zaś listów zastawnych poznańskich 30 czerwca 1890 r. był o 3% niższy od kursu d. 30 czerwca 1889 r. Strata

przeło jest książkowa i nie wynika z papierów, które w ciągu roku kupowane i sprzedawane były, lecz z tych, które leżały w końcu roku i dziś jeszcze zapewne leżą w kasie banku. (7).

A zatem nie żadna spekulacja spowodowała stratę, lecz prosto niemierną konieczność trzymania odpowiedniej rezerwy, którą bank miał w listach zastawnych poznańskich.

Twierdzenie pana J. L. P., że nabywcy włościanie nieraz kupują grunta za pieniądze pożyczone, nie zgadza się z rzeczywistością. Zdaniem takie należy podług doświadczenia banku ziemskiego do nader rzadkich wyjątków.

Również niesłusznym jest protest pana J. L. P. przeciw zdaniu, że i drobna własność stara się likwidować w drodze parcelacji, bo zjawisko to powtarza się u nas sporadycznie. Choć mylnym byłby wniosek, że drobna własność nie ma racji bytu i chociaż bank ziemski miał co do obszaru 13 razy mniej ofert włościańskich, niż szlacheckich majątków, jednak fakt zdarzającej się likwidacji chłopskiej i dziś jeszcze zanegować nie można.

Jastrzębiec.

3) O spółce ziemskiej nie mówiliśmy dla tego, że działać jeszcze nie zaczęła, o założeniu zaś jej i zamierzonym charakterze działalności poprzednio już pisaliśmy z uznaniem. Spółka zyski z operacji parcelacyjnych ma dzielić, jak zapewnia autor, pomiędzy nabywców. Widocznie więc, że to co poprzednio było dowodem naszej filantropii na rzecz chłopów, nie jest żądaniem fantastycznym, kiedy biegły w sprawach finansowych zarząd Banku pozwala to czynić spółce, z inicjatywy jego założonej.

4) Bank ziemski nie ma prawa parcelować majątków na własną rękę, zobowiązuje więc kontraktem właściciela do minimalnej ceny, ale nie ma sposobu zniewolenia go, ażeby nie brał od nabywców parcel cen wyższych. Zapewne, ale zastrzegając sobie połowę nadwyżki, Bank zachęca pośrednio właściciela do podwyższania ceny. Jeżeli cena minimalna, dajmy na to, wynosi 150 marek za morg, to właściciel, chcąc zarobić po 20 marek na morgu, sprzedawać będzie po 170, a dzieląc się zyskiem do połowy z Bankiem musi wy-

żej jeszcze podpedzać cenę. Dwadzieścia tysięcy marek (połowa przewyżki nad oznaczoną cenę sprzedanych parcel) pochodzi jakoby ze sprzedaży 8 gospodarstw chłopskich, włościanie więc skorzystali i zarzut filantropii szlacheckiej upada. Jeżeli tak jest — zarzut cofam, a raczej zmieniam go, bo podwyższenie ceny ziemi czy to na korzyść sprzedawców szlacheckich, czy sprzedawców chłopów jednakowo jest szkodliwym.

5) Na zapytanie dla czego chłop polski ma płacić średnio po 173 marki za morg, kiedy komisja kolonizacyjna kupuje ziemię średnio po 150 marek, p. Jastrzębiec odpowiada, że komisja drożej, aniżeli po 173 marki morg gruntu sprzedaje. Bardzo być może, ale tu nie o to chodzi, jak komisja interesy prowadzi, tymbardziej, że sam autor wyznaje, że koloniści skarżą się na ciężkie warunki kupna. Idzie o to tylko: dla czego komisja kupuje taniej, aniżeli chłop polski. Względnie wysoka cena ziemi pochodzi jakoby ztąd, że chłop — sprzedawca wysoko cenią (z górą 200 marek za morg) swoje gospodarstwa. Lecz i komisja kupuje przecie gospodarstwa chłopskie, Bank zaś tylko w wyjątkowych razach powinien je nabywać, bo zadaniem jego nie jest pośredniczenie w sprzedaży gruntów ale utrzymanie w rękach żywołu polskiego, za pomocą parcelacji, tej ziemi, która inaczej przeszłaby w obce ręce.

6) Zresztą spółka ziemska ma powyżej wskazane niewłaściwości usunąć. Jeżeli spółka ma wprowadzić pewne zmiany, to widocznie poprzedni stan rzeczy nie był zupełnie zadawalającym. Ponieważ owa spółka dopiero zacznie działać w przyszłości, a my o przeszłości mówimy, więc zarzuty nasze nie tracą podstawy.

7) Strata 7,527 marek na różnicy kursu jest, jak zapewnia p. Jastrzębiec, fikcyjną, szkoda tylko, że w sprawozdaniu wyraźnie tego nie zaznaczono. Przypuśćmy, że Bank ziemski musi trzymać pewną część kapitału w rezerwie, ale dla czego trzymał taką wiel-

ką sumę, że strata 3 proc. na kursie wynosiła 7,527 marek. Przecie odpowiada to kapitałowi 250,000 marek i potrzeby takiej ogromnej rezerwy, kiedy w interesie parcelacyjnym było tylko 420,000 i kiedy trzecią część tej sumy (141,000 w ciągu roku odzyskano) nic nie uzasadni.

W końcowym ustępie swej repliki, który opuszczamy, bo nie zawiera żadnych danych, autor mówi o zbyt śmiałych wnioskach „z pozornych założeń i ułudnych liczb(?)”, wnioskach, „zabarwionych przymieszką doktryn”. Zdaniem jego mogą takie wnioski „zachwiać zaufanie i zaszkodzić instytucji, której się chciało dopomóc”. Żadna krytyka, nawet najsurowsza, nie może zachwiać zaufania do Banku, jako instytucji finansowej, bo w tym charakterze — co już zaznaczaliśmy poprzednio — dobrze prowadzi swe interesy. Nie zaprzeczamy też bynajmniej, że i pod względem społecznym Bank położył już pewne zasługi, a kierownictwo p. Kalkszteina daje gwarancję, że działalność instytucji rozwijać się będzie. Chcieliśmy tylko wobec zbyt jednostronnych pochwał wskazać na zboczenia i błędy w dotychczasowych czynnościach Banku. Objaśnienie, jakie nam nadał p. Jastrzębiec, daje nadzieję, że pewne przynajmniej wadliwości zostaną usunięte.

Poglądy nasze na charakter i zakres działalności Banku w wielu punktach różnią się zasadniczo od zapamiętań jego kierowników. Ale to już „kwestyje teoretycznie sporne” nie będziemy więc tu ich poruszać, chociaż nasz preopinant zahaczał o nie kilkakrotnie. — W kwestjach tych z pewnością nie dojdziemy do porozumienia, a nawet zrozumieć się nam będzie trudno, zbyt bowiem głębokie różnice nas dzielą.

J. L. P.

POKUSA.

Z cyklu „Odruchów“.

Najmłodszy z synów JW. Pani Anny Krzywsod — Nasławskiej poświęcił się stanowi duchownemu. Od lat pacholących zdradzał niewyłącznie zamilowanie do modlitwy, był cichy, pokorny, nad wyraz poważny i świętobliwy. Kształcił się w Rzymie pod okiem dalekiego kuzyna — kardynała i tam też, lat zaledwie dziewiętnaście sobie licząc, seminaryjum chlubnie ukończył. Ponieważ nie mógł, dla braku lat odpowiednich, otrzymać święceń kapłańskich, przybył do kraju po raz pierwszy od lat wielu i w domu matki zamieszkał.

Umieścił się w narożnej izdebce pałacu, pustej i wilgotnej, jak cela więzienna, sypiał na ziemi, pościł bez przerwy, księgi łacińskie czytał, — podobno nawet biczował się nocami i włosienicę pod wyszarzaną sutanną kleryka nosił. Był niewystawienie dobry, łagodny, przebaczący urazy i aż nieznośnie skromny.

Jeżeli siadał, to na samym brzeżku krzeselka, jak gdyby się lękał, by w chwili nastąpić mogącego wniebowzięcia o stół sutanną nie zawadzić, — chodził na paluszkach, jakby pod podszewkami sandałów miał mistyczne ja-

kieś druciki, chroniące od pyłu ziemi, — przemawiał językiem niesłychanie biblijnym, unikał ludzi, szeptał modlitwy na widok dziewcząt wiejskich...

Codziennie przed świtem opuszczał mieszkanie i szedł w pola. Tam najłatwiej mógł znajdować nazwy dla Stwórcy, tam ekstatyczne jego marzenia najszerzej zataczały kręgi. Ścieżką, wydeptaną wśród niezmiernego ładu żyta, wstępował na wzgórze odległe, gdzie w cieniu sosen kryła się leśna, napoły zmurszała kapliczka.

Dnia tego szedł, jak zwykle. Okolica zanurzona była jeszcze w mroku nocy, choć na wschodzie paliła się już lilijowa wstęga brzasku. U kolan zdziebeł żytnich wisiały wielkie krople, zmoczona była przez nie ścieżynka, schylały się pod jej ciężarem szypułki kłosów. Zboże, słabo oświetlone brzaskiem, jak wielka fala, rzuciło się ku górze aż do lasu, w który wkraczało zatokami. Wisiał w powietrzu zapach ziemi i dojrzewającego zboża, co rozniecał w człowieku poczucie sił, zdrowia i młodości. Ostry, wilgotny oddech lasu pociągał ztamtąd, z tej czarnej głębin wielkich drzew, po szczytach których rozchodził się zaczął niebieski przedświt. Kleryk szedł wolno, nogi jego posuwały się bezwładnie, rękę prowadził po powierzchni żyta. Zpod nóg zrywały mu się skowronki i dzierlatki i wpadały, jak kamienie, coperdziej w gąszcz zbożowy.

Brzask się w zorzę rozlewał: rósł, jak płomień wielki, oświetlał szczeliny, wąwozy i załomy w czarnych chmurach, leniwo leżących nad lasem. Stuletnie świerki, wieńczące szczyt góry, wyszły z nocy niespodziewanie wielkie i wspaniałe, jak kapłany słowiańskie. Gałęzie ich sterczały na przezroczystym tle błękitu, niby ręce wyciągnięte do słońca, które przyjdzie.

Nagle przepłynęła nad ziemią gwałtowna fala: — to podmuch wiatru, goniec świtania, zleciał z gałęzi świerkowych, zwiastując ziołom, trawom, zbożom: słońce!

Zdawało się, że ziemia drgnęła, że zaczyna bić jej serce. Potem i wiatr zwinął skrzydła i zawisł nad ziemią, w pachnącej żywicy, wikliną i zbożami przestrzeni. Nastąpiła chwila śmiertelnej ciszy, długa i dobra, nastąpiła ta tajemnicza minuta przedświtu, kiedy rośliny spalają wszystkie węgiel, jaki tylko pochłonąć są zdolne...

Księżyk miał wzrok zwrócony na zorzę. Słowa modlitwy wytaczały się z jego serca na usta, jak się wytacza żywica na korę sosny, gdy przyjdzie wiosna. Doszedł do kapliczki, otworzył drzwi, zbite kołkami szarych deszczulek i upadł na twarz z rozłożonymi rękami przed wizerunkiem Chrystusa, narysowanym niezgrabnie, ręką prostaka.

Dusza jego uciekła, zdało się, z ziemi pod stopy Boże. Za chwilę spadną ze źrenic jego łuski ślepoty, ujrzy oblicze Przedwiecznego...

„Antysemityzm” Głosu.

II.

Komedyjopisarze nasi i humoryści niejednokrotnie już bawili publiczność obrazami tak zwanej „inteligencji” mniejszych miast i miasteczek, zwracając przytem szczególną uwagę na szczypty jej zastęp liczebny: pani aptekarzowa, ksiądz proboszcz, doktor, dwie — trzy dewotki, poczmistrz—oto cała śmietanka. Zapomina się tutaj, że tego rodzaju asortyment byłby uchodził w całym świecie cywilizowanym za anomalią, że dla francuza albo Niemca byłby on wprost niezrozumiałym, że w tem skupieniu niema prawie właściwego społeczeństwa. Owszem, w miasteczkach naszych znajdują się również ludzie, którzy, nie będąc przedstawicielami żadnych ustanowionych funkcji urzędowych, są samorodnym, jak gdyby, wytworem tego, co Spencer tak lubi nazywać „kooperacją dobrowolną”; są w naszych miasteczkach kupcy, handlarze zboża, dostawcy, drobni przemysłowcy i t. p., ale należą oni do społeczeństwa innego. Poza nimi idą znów jednostki skromniejszych jeszcze zawodów i powołań—drobni rzemieślnicy, sklepikarze, wyrobnicy i t. d., którzy, niezależnie od szczeru i pochodzenia, stanowią znowu naród prawie obcy nam, gdyż tak skutecznie oddzielony ogniwem żydowskim od źródeł wiedzy, tak pozbawiony łącznika cywilizacyjnego ze światem jako tako kulturalnym, że rozwój ich odbywać się musi w warunkach zgoła niezwykłych. Dla uprzytomnienia sobie całej potworności takiego stanu rzeczy nie dość jest wyobrazić, że we Francji np. rozgościło się ze sześć milionów chińczyków albo hindusów, ale że obca ta kultura: 1) zakrzepła w formach prawie niezmiennych, 2) murem rytualnym zmuszona była oddzielić się od otoczenia, 3) (co najważniejsza) przedstawiciele jej nie rozproszyli się równomiernie po wszystkich warstwach narodu, ale się rozsiedli w jednym jakimś jego narzędziu, w takiej właśnie części, która, w danym okresie dziejowym, żywotnością i rolą społeczną najwięcej o rozwoju całości stanowiłyby mogła; 4) że, наконец, głównie wskutek tejże odrębności rytualno-kulturalnej, w zawodach, jakim się przybysze

oddają, nastąpić musi przeludnienie, a ztąd, z jednej strony nędza i degeneracja, z drugiej zaś—pasorzytnictwo i zbrodnicość, przewyższające normę, jakiej w warunkach danych byłoby dosięgły bez owego dodatkowego czynnika. Ma się rozumieć, że przy ocenie tego ostatniego punktu nie powinny w grę wchodzić rozmyślenia: czy ormianie, grecy albo mieszkańcy księżycy wyzyskują mniej, czy też więcej, lecz jedynie — czy dana grupa ludzi, w określonych warunkach ekonomicznych, nie byłaby mniej wyzyskującą w razie nieobecności owej nieekonomicznej przyczyny.

Kulturalne znaczenie żydów u nas (lub wszędzie, gdziekolwiekby podobny absurd socyjologiczny się ukazał) w odniesieniu do prądów cywilizacyjnych, przebiegających po całej masie, można przyrównać do roli izolatora—do roli jakiegoś złego przewodnika elektryczności—w odniesieniu do prądów elektrycznych.

Rzecz jasna, że nawet tym, którzy, bojąc się wyrazów: *narodowość, interesa narodowo-kulturalne* i t. p., używają zamiast nich zaimek: *ona, oni*, że nawet takim przyjsć może na myśl, iż, obok pośrednich strat ogólnoludzkich, z takiego stanu rzeczy płynących, traci tu przede wszystkim kultura najbliższego ich otoczenia—a więc ich własna nawet, osobista, gdyż korzystniej jest dla nas być uczestnikiem albo przedstawicielem cywilizacji bogatszej, rozwijającej się normalnie, aniżeli potwornie stłumionej i wykoszlawionej. Nadto, oczywistym też jest, że, w praktyce, gdzie ludzie mniej są skłonni uważać zarówno najbliższych swoich jak i obcych li tylko za „kategoryje” ekonomiczne, drugiej z tych kategoryj może się dostać nie raz coś gorszego, niżby chłodny obiektywistahistoryk dać za stosowne uważał; niemniej jednak sędzę, że do zrozumienia jak najistotniejszej szkodliwości żydów zdolnymi być mogą nie tylko szowiniści, oraz że niema takiego kosmopolity, któryby — przy zdrowych będąc zmysłach—szkodliwości tej nie spostrzegął.

Dziwnem się może wydawać, że nad tą, tak oczywistą prawdą rozwodzę się tak długo; ale ten komuby, tak jak mnie, aż do znudzenia powtarzano bezmyślne frazesy o „większym wyzysku”, o „kupińskiej etyce anglików” i t. p. były to samo uczynił dla wykazania, że nie o wyzysk ekonomiczny idzie tu przedewszystkiem.

Rzeczą jest całkiem inną pytanie, czy i o ile jakieś zasadnicze reformy ekonomiczne—działając pośrednio, mogłyby na poprawę tych stosunków wpłynąć; pytaniem tem zajmijmy się później, gdy będzie mowa o środkach zaradzenia złemu.

Teraz jednak, przedstawivszy w zarysach ogólnych, dla czego żydzi są szkodliwi u nas, niż gdzieindziej, a tem samem uzasadnivszy, jak sędzę, prawo każdego i wszystkich tak wskazywania owej szkodliwości, jak nawet pragnienia, aby ta „kategoryja” szkodliwa przestała, zajmę się pokrótce wyświetleniem takiegoż prawa ludzi o przekonaniach, które nazwę demokratycznymi, wyświetleniem stosunku *demokratyzmu do antysemityzmu*, tak pojmowanego.

Wzorowanie się na przykładach obcych, a nadewszystko przyrodzona, prawdopodobnie, tępość umysłu tak dalece zmanierowała naszych, żyjących formułkami, doktrynerów, że, podług ich zdania, oba owe pojęcia, czy też prądy społeczne wyłączają się wzajemnie.

Jeżeli za granicą ruchu antysemicki może być istotnie li tylko, jak miał powiedzieć Engels, „reakcją drobnego kramarstwa i średniowieczczyzny przeciwko kapitałowi”, jeżeli tam dla uzasadnienia jego potrzeba uciekać się do przykładów jaskrawego wyzysku — co, w istocie, odwraca uwagę ogółu od rzeczywistych przyczyn eksploatacji kapitalistycznej, to, z drugiej jednak strony, nie należy zapominać, że, nawet na zachodzie, przytaczano fakty, nie mające nic wspólnego z ekonomicznym wyzyskiem—przeciwnie—będące raczej zaprzeczeniem ciasnego, wyłącznie ekonomicznego na świat poglądu. Jeżeli postęp pp. Cremieux nie przypomina nam żadnej kategoryi ekonomicznej i tylko uczuciem wspólności kulturalnej, czy tradycyjnej, czy też, może, rasowej tłómaczyć się daje, to już ofiara barona Hirsza — zgoła wszelkim „kategoryjom” ekonomicznym przeczy; trudno przypuścić, aby milioner ten spodziewał się powetowania sobie wydatków, na oświatę swoich współrodaków: „kategoryja” obszarpańców galicyjskich nie, oprócz modlitwy w synagodze, dać mu nie będzie mogła.

Przykłady Hirsza i Cremieux’go wskazują, że nawet w Europie zachodniej ruch antysemicki *dzisiaj przynajmniej* już nie w samych tylko ekonomicznych pobudkach się swą czerpie. Zapewne, wbrew wszelkiemu świadectwu dziejów, na przekór trwającej przez wszystkie wieki i w *w warunkach wszelkich* sekciarskiej i kulturalnej odrębności mas żydowskich, można utrzymywać, że tylko dzisiejsze prześladowanie żydów zrodziło w nich ową solidarność plemienną, owo poczucie narodowej jedności. Ale, gdyby nawet tak było istotnie, to dzisiaj, z powodów przytoczonych uprzednio, państwa europejskie nie mogłyby przed ukończeniem rachunków międzynarodowych nie zachowywać się z jaknajwiększą ostrożnością, wobec, sztucznie czy też naturalnie wytworzonej, nowej grupy etnicznej, która do Walenrodyzmu tak wybitnie okazuje zdolności.

Nas jednak fakty owe mniej mogą obchodzić. Uznając nawet w zupełności pogląd Engelsa na tę sprawę, nie będziemy mogli dojrzeć jego związku ze stosunkami miejscowymi. Tu już o należyte ukłasyfikowanie żydów podług kategoryj ekonomicznych idzie, ale o wysadzenie zpośród jednej grupy kulturalnej klina, tamującego jej rozwój, oraz o wyrwanie innej grupy z objęć sekciarskiego fanatyzmu i ciemnoty, których korzenie tkwią nie tylko w ekonomicznych stosunkach doby obecnej, lecz w kolejach kilkotypsiąco-letniej przeszłości.

Zasklepianie się doktrynerów w atmosferze gabinetowej jest objawem nowożytnego arystokratyzmu: arystokratyzmu kultury. Tych panów nie obchodzi nic, że milionom jednostek ciemnych stosunek nienormalny odbiera możliwość oświecania się i rozwijania, że chłop, wyrobnik, rzemieślnik danego kraju, obok zwykłych ekonomicznych czynników, krępujących rozwój jego świadomości, podlegać musi innym, którymby gdzieindziej nie podlegał: dla nich są to tylko pewne kategoryje; gwoli tym kategoryjom ukuło się parę formułek, sparodyjowało się paru pisarzy radykalnych—a po za tem—*pereat mundus fiat doctrina*.

Sądzą niektórzy, iż teoryja ustroju współdzielczego z przyrody swej jest przeciwna

Nagle rozlega się rubaszny, brutalny prawie śpiew chłopski:

„Wtedyś mi się, wtedy, Hanka, spodobała,
Jakeś się na polu, jak gaska bielala...”

Śpiewce tej odpowiedziała, inna, kobieta, zdaleka dochodząca:

„Nie ja się bielala,—koszulina Iniana,
A tyś, Jasiu, myślał, że ja malowana...”

Młodzieniaszek podniósł się z ziemi i stanął w progu kaplicy. Zobaczył wysokiego parobczaka w koszuli, bosego, w kapeluszu słomianym, karczującego na zrębie lasu jałowce. Drab ten wydierał z ziemi kilofem korzenie, obmotywał sobie ręce gałązkami i wyciągał krzaki wraz z bryłami ziemi. Ścieżką szła dziewczyna, niosąca na plecach brzemień chwastu. Róg spódnicy zatknęła zapas, szerokie jej ramiona zbiegały się ku sobie pod ciężarem, głowę tylko, okrytą „szmatką” czerwoną, podnosiła ku górze, gdzie pracował parobczak. Gdy stanęła na zakręcie ścieżki, kopacz zastąpił jej drogę, odwiązał końce płachty z jej piersi, brzemień złożył na ziemi... Odpychała go rękami, śmiejąc się.

Ksiądz zasłonił sobie dłońmi oczy, lecz po chwili ręce mu opadły na głos nowej śpiewki obojga, która odbijała się w lesie. Była to dziwna muzyka... Las, jak napięta struna, drgał i zanosił się od uderzeń tych dwu głosów.

„W ogródecku—wisienecka,
A w sadecku dwie,
Kochałem cię, Hanuś, zmała
Ludziom, nie sobie.
Dawałem ci na trzewicki,
A tyś nie chciała,

Belaś wtedy młodziuleńka
Nie rozumiała...”

Szli na dół, między zbożami, które sięgały do ich głów, pochylonych ku sobie. Głowy te jaskrawo odrzynały się od szarego żyta, oświetlone przez miedziany, olbrzymi puklerz słońca, które wyszło nad krawędź parowu. Szli długo, miedziami, póki ich zboże nie zakryło zupełnie.

Łzy płyną zpod zamkniętych powiek kleryka, ręce jego załamują się gwałtownie... Nieznane słowa, które nazywają po imieniu tęsknotę i błagania miłosne, cisną mu się na usta.

Mówi je do widma o łzawych oczach, o długich splotach dziewiczych włosów, które wpływa z jakiejś jaskini i spada mu na oczy. Wstaje w nim jakaś siła nieznaną, nieodegnana, natrętna, potężna, potwornie słodka, i wciąga go w daleki przestwór. Dzika wolność duszy rozpętała powrozy, i wyrwa się, jak koń młody, do rozhukanego biegu...

Po długiej chwili, w ciągu której był jak gdyby zespólny z ciszą pól i łąk, poczał się budzić z letargu. Szmer jakiś wstrząsnął nim nagle. Obejrzał się dokoła i wznosił oczy w górę, na błękity: pod srebrzystym obłokiem unosił się skowronek dzwoniąc zwykłą swą piosnkę. Myśli biednego ascety biegnęły za jej odgłosem, wzrok rozjaśnił się powoli, potęga nalogu, potęga wiary obejmowała nad nim utraconą władzę.

Boże, przebac mi, przebac! szeptały wybladłe usta.

S. Żeromski.

t. zw. antysemityzmowi *rasowemu*, t. j. uznaniu szkodliwości żydów, jako takich, jako odrębnej rasy—niezależnie od stopnia i rodzaju ich kultury, od ilościowej domieszki ich w danym organizmie społecznym i t. p., a tem samem, że zwolennicy współdzielczego ustroju są w niezgodzie z samymi sobą, gdy można ich o antysemityzm rasowy przekonać. Pogląd ten nie dotyczy nas bezpośrednio, gdyż szkodliwość żywiołu semickiego u nas nie jest faktem spornym, dla uzasadnienia którego potrzebny byłoby uciekać się do wyszukanych teoryj. Nie mogą jednak pominąć milczeniem owego mniemanego stosunku pomiędzy antysemityzmem rasowym a współdzielczością. Pogląd ten nie jest ani prawdziwym, ani błędnym, lecz po prostu niedorzecznym tylko.

Zagadnienie o stosunku ras—jeżeli o różnicy ich stanowić będą nie tylko takie lub inne wymiary czaszek, co szczególnie imponuje formułkowcom, ale wprost nagie, brutalny fakt ich różnic, uderzający oko, pomimo zatarcia wszelkich pozorów zewnętrznych i wszelkiej odmienności cywilizacyjnej—zagadnienie to, mówimy, jest dotąd jeszcze zagadnieniem wysoce spornem: jest to zagadnienie antropologii, o którym ani zwolennik współdzielczości, ani obrońca współzawodnictwa, jako tacy tylko, stanowić nie mają prawa—tak samo, jak np. członek Towarzystwa opieki nad zwierzętami, z samego tylko tytułu swego nie ma jeszcze prawa orzekać o tem: czy krzyżowanie konia z oslicą jest dla hodowcy pożytecznem.

Niektóre wszakże fakty zdają się tutaj nie podlegać już zaprzeczeniu. Tak np. nikt już nie wątpi o niższości ras pewnych, oraz wyższości innych. Nikt przeczyć nie będzie np., że podarowanie Francji kilku milionów buszmenów, zamiast takiej samej ilości analfabetów francuzkich, byłoby dla niej upominkiem niepożądanym, nawet w takim razie, gdyby przybysze owi od razu mogli mówić najczystszy paryzkim akcentem. Dalej, nikt chyba nie zaprzeczy, iż nie tylko niższość kultury (stanowiącej, w szerszym rozumieniu, cechę antropologiczną), ale, w razie bardzo znacznej domieszki, nawet jej odrębność zbyt wielka szkodliwy wpływ wywrzeć musi: może oddziaływać ona na dany aglomerat społeczny przytępiająco, wywołać w nim chaos, który na długi bardzo czas zwolni przebieg jego ewolucyjny, może oddziaływać, jak nadmiar substancji ożywczej—obezwładnić. Jeżeli do grona 60 rachmistrzów, liczących podług systemu dziesiątkowego, wejdzie jeden lub paru buchalterów, rachujących podług szóstkowego systemu, to obie strony będą mogły na tem skorzystać, przybysze rychło zostanie nauczony nowej dla niego metody, zaś otoczenie jego dowie się, że istnieją inne jakies sposoby rachowania. Ale, jeśli grupa 60—ciu wchłonie w siebie 20 lub 30 nowych rachmistrzów—powstanie wśród niej zamęt straszny: znaczną część pracy poświęcić trzeba będzie na nauczanie przybyszów; nie mniej energii zabierze też poprawianie licznych omyłek, jakich długo jeszcze nie potrafią uniknąć szóstkowcy. Czy z biegiem czasu chaos szczęśliwie przemienie. Czy skończy się tylko na tem, że sekcyja buchalteryjna nie dotrzyma planu innym gałęziom służby; czy też niefortuny ów wydział za nadmierne opóźnienie się w robocie zostanie wymazany z ksiąg etatu—o tem stanowią przeróżne warunki i okoliczności. Zapewne, buchalterów, po stracie chleba można byłoby pocieszyć, mówiąc, że mogą obyć się bez tej kategorii ekonomicznej, niemniej wszakże jest prawdą, że bądź wynalezienie dla szóstkowców innego miejsca, gdzie potrzeba rachowania nie jest tak nagląca, bądź też umieszczenie ich w dziesięciu takich samych wydziałach rachuby nie tylko rachmistrzom owym, ale i całemu ogółowi służby korzyści przyniosło.

W rozwoju społeczeństwa, na równi z warunkami zewnętrznymi, materyjalnymi, czynną jest dawna rutyna rozwojowa, pewien, wiekami wyrobiony *habitus* oddziaływania na owe zewnętrzne warunki. Czynnikiem ten, będący głównym hamulcem szybszego postępu, jest też zarazem najpotężniejszą ręką ciągnącą ewolucyjną, a nadto stanowi on właśnie nie tylko o charakterze, ale wprost o największej odpowiedności form przystosowywania się do nowych wymagań kultury. Znaczną domieszka rutyny innej, innego rozwojowego nąjogu musi z konieczności na jakiś czas dana

grupę kulturalną wykoleić: nowe wymagania bytu będą dla niej (a tem samem też dla kultury ogólnoludzkiej) do zaspokojenia trudne—już nie tylko z przyczyny nowości swojej, lecz i z powodu niemożności szybkiego wyboru najwłaściwszych sposobów oddziaływania na nie; czy grupa ta zdoła zapanować nad chaosem dość rychło, czy wszystko skończy się li tylko na pewnem opóźnieniu jej cywilizacyjnego biegu, czy też powoli zmarnieje ona i wymazana będzie z ksiąg ludzkości kulturalnej—o tem stanowią przeróżne warunki i okoliczności. To jednak pewna, że bądź wynalezienie dla przybyszów siedziby odpowiedniejszej, bądź też rozsądzenie ich w kilku lub kilkunastu cywilizowanych społecznościach, zarówno dla stron zainteresowanych, jak też i dla ogólnoludzkich ideałów i potrzeb, znakomitym byłoby nabytkiem.

Ten tylko zrozumieć nie potrafi całej szkodliwości owego stanu rzeczy, kto nie wie o ile terażniejszość jest dziełem i służą przeszłości, kto nie pojmuje, jak wielkie brzemię nałogów, uczuć i wyobrażeń pokolenia zmarłe przekazały żyjącym, kto sędzi np. że protestantyzm francuza jest tem samem czem protestantyzm niemca, słowem, kto wyobraża sobie rozwój społeczeństw w postaci sztuk łananych i dowolnych eksperymentów. O ile wiem, jednak, dotąd nie zdołano wykazać, iżby wszyscy zwolennicy ustroju współdzielczego mieli być z konieczności tak niedorzeczni.

Tak więc, stanowienie o stosunku lub istnieniu ras, o szkodliwości lub korzyści wzajemnego ich oddziaływania, o znaczeniu liczebnego stosunku domieszki jakościowo nie niższej, lecz znacznie odrębnej—wyrokowanie o tem wszystkim nie wiąże się bezpośrednio z teorią ustroju współdzielczego. Zwolennicy jej mogą jedynie czekać w tej mierze na zdanie antropologii. Nawet w razie uznania przez nią znacznej niższości jednych ras i wielkiej innych wyższości, a tem samem w razie skazania przez nią na zagładę ras niższych, nie mogą ani faktu tego negować, ani też, ze swego stanowiska, potępiać tych, co pragną uwolnić się od niekorzystnych warunków rozwoju.

Jedno, czego domagać się mają prawo—prawo niezaprzeczone, najściślej łączące się z zasadą współdzielczości, to tego aby środki zaradcze były, jak można, najbardziej humanitarne—odpowiadające współdziałaniu, nie zaś współzawodnictwu. Roztrząśnienie tych środków, jak również odparcie niektórych poszczególnych zarzutów naszego korespondenta, oddamy muszę na później.

J. K. Potocki.

Kolonije w Brazylii.

Przed rokiem mniej więcej, kiedy nie słychać było wcale o gorączce emigracyjnej, niektóre pisma nasze pomieściły krótkie wiadomości o osadach polskich w Brazylii, zaczerpnięte z opisu podróży okrętu austriackiego *Albatros*.

Okrętem tym dowodził kapitan fregaty A. Müldner, rodem z Galicji, co ułatwiło mu zebranie informacji o stanie kolonistów. Kapitan Müldner zwiedził ośmiu osobiste niektóre kolonije w okolicach Curityby, w prowincji Parana. Sądzymy, że wobec żywego zainteresowania czytelników sprawą emigracji do Brazylii streszczenie odnośnych ustępów opisu podróży będzie pożądanem¹⁾. Emigranci nasi, o ile z dotychczasowych informacji sądzić można, udają się właśnie do południowych prowincji brazylijskich: San Paolo, Parana. Santa Catharina i Rio Grande do Sul, które kapitan Müldner zwiedzał przed kilkoma laty.

Prowincyje Parana, S. Catharina i Rio Grande do Sul zajmują południową część Brazylii, wsunięta pomiędzy Paragwaj, Argentynę i Urugwaj. Z wyjątkiem pobrzeża morskiego jest to kraj dosyć górzysty, jakkolwiek więc

leży pomiędzy 25 i 33° szerokości geograficznej, posiada klimat o tyle o ile znośny dla europejczyków. Parana, w której znajdują się kolonije polskie, zajmuje przestrzeń 221,319 kilometrów kwadratowych i miała w 1883 r. 189,668 ludności, nie licząc 5—10,000 indyjan, głównie z plemienia Guaranów. Miastem głównem jest Curityba, połączona koleją żelazną z portem Paranaagua.

W Curitybie kapitan Müldner powitany został przez agenta austriackiego oraz honorowego konsula niemieckiego, Drużynę. Ze spotkanych w mieście ziomek jeden zwłaszcza, p. Bendaszewski zajmował poważne stanowisko i jako kupiec cieszył się powszechnym szacunkiem. P. Bendaszewski chętnie zapoznał kapitana Müldnera ze stosunkami miejscowymi i udzielił mu wielu cennych informacji.

Parana należy do prowincji, do których licznie napływa emigracja z Europy, wychodzący z Austrii, zwłaszcza z Galicji znajdują się tu w znacznej liczbie. P. Bendaszewski jest galicyjaninem, rodem z Gorlic, od lat dwudziestu kilku osiadłym w Brazylii, gdzie otrzymał obywatelstwo.

W mieszkaniu gubernatora prowincji, którego kapitan Müldner odwiedził, było kilku urzędników i znaczniejszych obywateli miejskich. Rozumie się, zaczęto mówić o emigracji. Prezydent zaznaczył, że chłopcy polscy stanowią najcenniejszy żywioł emigracyjny, z uznaniem mówił o ich pracowitości i zamiłowaniu do rolnictwa, chwalił wreszcie szczególną ich wytrzymalność. Francuzi i włosi oddają się głównie uprawie wina, Niemcy, bardzo licznie w Paranie osiedleni, zajmują się najchętniej drobnym handlem i przemysłem, natomiast Polacy są wyłącznie prawie rolnikami.

W odległości jednego dnia drogi od Curityby na t. zw. kolonijach mieszka około 7,000 wychodźców z Austrii, w tej liczbie 6,000 galicyjan. Kapitan Müldner z wielką chęcią przyjął propozycję zwiedzenia tych osad.

Wice-gubernator (właściwie wice-prezydent) jeden z założycieli i ówczesny przedstawiciel „Centralnego towarzystwa imigracyjnego” w ogólnych zarysach zapoznał p. Müldnera ze sprawą kolonizacji. Przyznał on, że państwa europejskie mają poniekąd słusność, stawiając przeszkody emigracji swych poddanych, dla Brazylii jednak kwestyja imigracji jest nader ważną, stanowi niemal o przyszłości kraju.

Zdaniem a jego *Sociedade de Imigração* (towarzystwo imigracyjne) stara się usilnie, ażeby przybyszów uchronić od oszustwa i wyzysku, co poprzednio często się zdarzało. Emigrantów obdzierano bez litości. Obecnie wyznaczone są grunta, zdadne do uprawy, które nabywać można po niższej cenie. Dopóki grunt nie wyda plonów, ludzie znajdują zajęcie przy budowie dróg, co daje średnio 2 milreisy (około 4 marek) zarobku dziennego.

Przybysze w ciągu 8 dni mają zapewnione bezpłatne utrzymanie, następnie zaś są wysyłani do miejscowości, w których pragną osiąść.

Ceny ziemi, spłacane ratami, wynoszą od 2 do 8¹/₂ marek za hektar.

Działy gruntów, stosownie do wyboru, mają 15, 30 i 60 hektarów przestrzeni. Przedsiębiorcy, którzy pragną założyć kolonije, otrzymują grunta po 2 marki za hektar, natomiast muszą własnym kosztem sprowadzać emigrantów.

Trudno powiedzieć, o ile te zapewnienia p. wice-prezydenta zgodne są z prawdą, dalej jednak zobaczymy, że i teraz emigranci stają się nieraz ofiarami wyzysku.

Emigracja europejska do Brazylii w czasach panowania portugalskiego prawie nie istniała, a raczej przyjmowano tylko portugalczyków. Dopiero w 1818 r. założono pierwszą kolonije niemiecką Leopoldyna, w prowincji Bahia. Pomimo niepomysłnych warunków miejscowych kolonija ta istnieje dotychczas. W rok potem powstała kolonija szwajcarska Neu-Freiburg. Kolonizacja przybrała większe rozmiary od chwili, kiedy Dom-Pedro I zniósł prawo, orzekające, że tylko emigranci-katolicy mogą nabywać grunta. Wkrótce potem zaczęli przybywać licznie wychodzący z północnych Niemiec, pomiędzy nimi znajdował się pewien niewielki procent Polaków z wschodnich prowincji Prus.

W Rio Grande do Sul, najbardziej na po-

¹⁾ *Reise S. M. Schiffes „Albatros” unter Commando des K. K. Fregatten-Kapitäns Arthur Müldner, nach Süd-Amerika dem Caplande und West-Afrika. 1885 — 1886.*

łudnie położonej prowincyi, powstała kolonja niemiecka São Leopoldo, która już w r. 1829 liczyła 3,600 mieszkańców. Obecnie kolonja ta stanowi zamożną gminę z 30,000 ludności, składającą się z wielu osad i miasta, połączonego drogą żelazną ze stolicą prowincyi, Porto-Allegre. Oprócz niej istnieją jeszcze inne kolonije niemieckie, ale rozwijają się słabo.

W 1850 r. dr. Herman Blumenau z Brunświku założył na prawym brzegu rzeki Itajahy, w prowincyi Santa-Catharina, kolonije, która nosi jego nazwisko. Blumenau liczy obecnie 16,000 mieszkańców. Towarzystwo hamburskie w 1851 r. założyło koloniję Francisca, która obecnie wraz z sąsiednią koloniją San-Bento mają około 17,000 ludności. Osadnicy w tych kolonijach mają warunki bardzo pomyślnego rozwoju.

W ostatnich 30 latach w prowincyi Rio-Grande do Sul powstały liczne i kwitnące kolonije niemieckie: Mundo Novo, Padre Eterno, Maria do Soledade, São Lorenzo, Teutonija, wreszcie Santa Cruz, Petropolis Monte Alverne i São Angelo. Zarząd prowincyi dbał bardzo o kolonizację niemiecką, dawał więc wychodźcom znaczne przywileje i hojnie rozdawał ziemię. Zawarto nawet w 1877 r. umowę z towarzystwem Pinto i Holzweissig o sprowadzenie 40,000 Niemców, ale urzeczywistnieniu tego projektu stanął na przeszkodzie zakaz emigrowania do Brazylii, wydany wówczas przez rząd niemiecki, który przestraszył się takiego tłumnego wychodźstwa.

O kolonijach niemieckich podaliśmy dokładniejsze wiadomości, ponieważ w wielu z nich (jak np. San Bento, Silveira Martins) znajdują się osadnicy polacy ze Szlązka, oraz z Poznańskiego i Prus zachodnich, a obecnie z tej strony zdążają również nasi emigranci.

Wspomniany wyżej zakaz rządu niemieckiego motywowano smutnem położeniem wychodźców-Niemców w prowincyi San-Paolo. Właściciele plantacji zawierali tam z emigrantami kontrakty dzierżawne, czyli tak zwane *parceria*, wielce dla robotników nie korzystne. Plantatorzy kawy dawali przybyszom zaliczki na koszt podróży, urządzenia się na miejscu, oraz utrzymanie w ciągu pierwszych lat pobytu. Od zaliczek tych trzeba było płacić wysoki procent. „Połownik” zobowiązywał się hodować krzewy kawowe, zbierać plon i połowę jego oddawać właścicielowi. Druga połowa stanowiła własność dzierżawcy, ale z niej potrącano raty i procent od zaliczki. W takich warunkach dzierżawa staje się po prostu niewolą. Osadnicy nie mają prawie możności zaoszczędzenia pewnej sumy na kupno gruntu. Sellin, autor niemiecki, który badał te stosunki, mówi: że plantatorzy starają się ograbić dzierżawców i niewypuszczać ich z zależności. „Ci godni pożalowania ludzie,” powiada Müldner, „nie znaleźli wcale obrony u władz krajowych.” Przeciwnie, w razie targów z plantatorami karano ich więzieniem. W dodatku osady niemieckie w San-Paolo i Minas Geraes, zostały zdziesiątkowane przez żółtą febrę.

Do prowincyi San-Paolo, jak widać ze statystyki brazylijskiej, udała się znaczna część zesłorocznych wychodźców europejskich. Pomiedzy nimi jest zapewne sporo naszych emigrantów. Ludzie ci, zakontraktowani przez plantatorów, znajdują się w warunkach bardzo niepomyślnych. Są to zapewne tacy, którzy po przybyciu na miejsce nie byli w stanie zwrócić zaliczki za bilety przejazdu, albo nie posiadali żadnych funduszów. Rozpaczliwe listy, przysyłane z Brazylii, niewątpliwie pochodzą od emigrantów tej kategorii.

Jak wyżej zaznaczyłem, większość naszych ziomków, dawniej osiedlonych w Brazylii, mieszka w prowincyi Parana, w okolicach miasta Curityby. To zbiorowisko polskich, wyłącznie prawie galicyjskich kolonij, stanowi odrębną całość. Jest to więc ta miejscowość o której agenci takie cuda — dziwy opowiadali naiwnym słuchaczom. P. Müldner, który miejscowość tę zwiedzał, wymienia następujące kolonije:

Angelino, założona w 1868, 33 osad, zamieszkała przez Niemców, szwajcarów i Polaków.

Pularzinho, założona w r. 1870, 90 osad, 360 mieszkańców Niemców, Holendrów i Polaków.

São Venacio, założona w 1873, 31 osad, 135 mieszkańców Polaków.

Santa Candida, założona w 1875, 64 osad, 300 mieszkańców Polaków, Francuzów i Polaków.

São Ignacio, założona w 1876, 70 osad, 352 mieszkańców Polaków.

São-Augusto, założona w 1876, 36 osad, 164 mieszkańców Polaków.

São-Pedro Riviere, założona w 1876, 36 osad, 532 mieszkańców Polaków.

Lamenha, założona w 1876, 139 osad, 718 mieszkańców Polaków.

Orleans, założona w 1876, 65 osad, 718 mieszkańców Polaków.

Thomas Coelho, również w 1876, założona, ma 270 osad i 1280 mieszkańców, wyłącznie Polaków.

Najnowsza kolonija *Alfredo Chaves*, założona w 1878 r. ma 40 osad i 160 mieszkańców Polaków, najstarszą zaś, wyłącznie polską osadą jest kolonija *Abranches*, która powstała w 1873 r.—67 osad, 323 mieszkańców.

Na urządzenie tych kolonij wydał rząd brazylijski 872,000 marek, kiedy kolonije dla Niemców, przesiedlonych z Rosyi (menonitów) które zbankrutowały, kosztowały trzy razy tyle.

Znaczny procent poddanych austriackich, a więc niewątpliwie i Polaków znajduje się w prywatnej kolonii *Neurömerstadt*, założonej w 1875 roku a należącej do pana Józefa Wolfa.

Podczas objazdu tych kolonij — przytaczamy ustęp ten dosłownie, kapitan Müldner był przyjemnie zdziwiony widoczną wszędzie wzorową czystością i porządkiem. Przekonał się naocznie, że pochwały, udzielane jego ziomkom, nie pochodziły jedynie z grzeczności. „Kapitan Müldner nie omieszkał wdać się w rozmowę z kolonistami. Ze słów ich można było przekonać się, że są zadowoleni ze swego skromnego losu. Widocznie ucieszyli się, że otoczony takim wspaniałym orszakiem *pan* był prawdziwym, żywym ich ziomkiem i tak szczerze ich losem się zajmował”.

Polacy w Brazylii nie pozyskali praw obywatelskich (obecnie otrzymać je musieli, na mocy dekretu rządu republikańskiego) ale p. Müldner sądzi, że to zaniedbanie czy raczej odroczenie naturalizacji nie oznacza bynajmniej chęci powrotu do kraju. Ludzie ci posiadają tu urodzajne grunty, własne gospodarstwa; dla kraju są prawie wszyscy na zawsze straceni. Ale nie zapominają jednak o starej ojczyźnie, gorliwie strzegą swej narodowości i obyczajów rodzimych i nawet chętnie wszelkie potrzeby swoje zaspakajają w kraju, jeżeli to jest możliwem, np. kupują towary, sprowadzane z Austrii. Pieniądze nie zbyt często posyłają do kraju, zwykle za pośrednictwem kupców niemieckich, zresztą nie mają większych funduszów.

Wogóle kapitan Müldner wyniósł z odwiedzin kolonij polskich bardzo przyjemne wrażenie. Zdaniem jego w prowincyi Parana mieszkało wówczas z górą 10,000 Polaków, co stanowi około 6% ludności białej. P. Kłobukowski rachuje, że w południowej Brazylii przed 10 laty było blisko 30,000 Polaków. Ale obok nich mieszka z górą 200,000 Niemców (w jednej prowincyi Rio Grande do Sul—100,000). Wychodźcy nasi, jak widać z relacji p. Dygasińskiego, w znacznej liczbie podążyli do prowincyi południowych, być może nawet do dawniejszych kolonij polskich. Gdyby jednak nawet udało im się stworzyć większe zbiorowiska, gdyby znaleźli pomyślne warunki dla osiedlenia się—to i w takim razie przyszłość tych osad, jako osad polskich, byłaby bardzo wątpliwą. Niemcy, którzy przeważają liczbą, którzy mają w kolonijach spory zastęp ludzi inteligentnych i posiadają silną, własną organizację wywierają muszą na osadników naszych wpływ bardzo znaczny.

Z dziedziny wychowawczej.

II.

Zdaje się, że jako uzupełnienie książki p. Hellperna *Wiadomości ogólne o świecie*, wydanem zostało jednocześnie tłumaczenie dziełka Pawła Berta.—*Pierwszy rok kształcenia naukowego*. Założenie było słusznem: równoległe z metodyką, przeznaczoną dla uczących, powinien być ukazany podręcznik lub książka do czytania dla ucznia. Czy jednak wybór tej drugiej

książki był również trafnym, jak pierwszej?—Zobaczmy.

Przyznam się, że do czytania książki Berta przystępowałem ze znacznem uprzedzeniem dodatkiem. Nazwisko autora, znakomitego uczonego francuzkiego, b. ministra oświaty, autor a paru dziełek wychowawczych, nie pozbawionych wartości (np. wykład anatomii i fizjologii człowieka); dalej nazwiska tłumaczów—dwóch dzielnych naszych pedagogów; prócz tego pogłoska że dziełko Berta jest wprowadzonym jako podręcznik w szkołach francuzkich, że zostało przetłumaczone na język angielski: wszystko to kazało oczekiwać arcydzieła pedagogii przyrodniczej. Niestety, trudno było spotkać większy zawód. Zapewne w pismach specjalnych, jak: *Przegląd pedagogiczny*, *Wszelchświat*, książka Berta spotka się ze szczegółowszą oceną; tutaj podam tylko parę ogólnych jej rysów i postaram się poprzeć je odnośniami przytoczeniami.

Ma to być podręcznik, obejmujący w pierwszym roku kształcenia naukowego wykłady o człowieku, zwierzętach, roślinach, minerałach, o zjawiskach fizycznych i chemicznych. Jestto więc podręcznik sześciu nauk przyrodniczych „w miniaturze”,—jak lubi wyrażać się Bert. Nie wiem, kiedy zaczyna się u francuzów „pierwszy rok kształcenia naukowego”; ale sądząc ze sposobu prowadzenia wykładów, powinno to być w jakimś 9—10-ym roku życia ucznia. Otóż przedewszystkiem, niepodobna sobie wystawić 9-cio letniego dziecka, które mogłoby w ciągu roku pochłoniąć i przetrwać tę potężną miniaturę wszelchwidzy przyrodniczej. Znajdujemy tam bowiem takie nagromadzenie faktów, zjawisk, nazw, określeń, sformułowanych praw, a nawet cyfr, że nie trzeba mieć litości nad dzieckiem, chcąc mu to wszystko w pierwszym roku włożyć do głowy. Zresztą, gdyby się to nawet powiodło, co za korzyść z tego? Czy pragnęlibyśmy z malców wytworzyć odrazu mędrców, pouczających nas, że „łatwiej jest zapobiedz chorobom przez stosowanie higieny, aniżeli leczyć je przez stosowanie medycyny”; że „lekarstwa przeczyszczające zwiększają ilość płynów w jelitach” a „ipekakuana ma w sobie alkaloid zwany emetyną”; że „szpat polny, pod wpływem niezbadanych jeszcze czynników atmosferycznych, daje kaolin”; że „skały dzielą się na neptuniczne, wulkaniczne, pierwszorzędowe, drugorzędowe” i t. d.; że „para ogrzana do 120° na każdy cal kwadratowy naczynia wywiera ciśnienie około 30 funtów”; że „gęstość ołowiu jest 11.4, drzewa dębowego 0.85, spirytusu 0.8”; że „jeden cal sześcienny wody daje wskutek rozkładu zapomocą baterii galwanicznej 1240 cali sześciennych wodoru i 620 cali tlenu” i t. p. i t. p?

Takich wiadomości i faktów w książce, którą ma czytać 9-cio letnie dziecko, być chyba nie powinno.

Poza nagromadzeniem masy wiadomości trudnych i niepotrzebnie obciążających ucznia, drugą stokroć gorszą, *nieużyteczną* wadą książki Berta jest ślizganie się po wierzchu faktów, płytkość, nieściśłość w ich podawaniu i objaśnianiu. Szczególniej widać to w części, zajmującej się naukami biologicznymi; druga bowiem część książki jest wogóle lepszą i metodyczniej opracowaną. Parę przykładów: „Na przodzie czaszki są jamy albo oczodoły, w których się mieszczą oczy; inne otwory są to jamy nosowe (!)” (str. 5). Podając kości kończyn, zapomina zupełnie o najważniejszych, mianowicie o dłoni i stopie z palcami... „Udo jest osadzone w stawie biodrowym”, mówi na str. 6, a dopiero dalej objaśnia, co to jest staw. „Mięśnie—jest to zbiór wiązek i pasemek, będących obok siebie i zwykle połączonych po obu końcach z kością”, (str. 9). „Zęby tkwią w otworach szczęki, w *dziąsłach*”, (str. 16). „Rura, idąca przez szyję (połyk), żołądek i jelita, nosi nazwę przewodu pokarmowego”, (str. 18). „Serce jestto rodzaj kieszeni (?)” Zaznaczony w kilku zdaniach zawiły objaw krążenia krwi, głównego i pomniejszego, twierdzi Bert, że teraz łatwo już sobie to wystawić...

Nie podając wyjątków z „Czytanek” anatomio-fizjologicznych, których treścią są różne wiadomości o białych obrzękach, skutkach opilstwa, o szukaniu porad u znachorów, chorobach nerwowych, operacjach i t. p. mądrych rzeczach, przejdźmy do zoologii i botaniki. Za-

czyna się wykład tych nauk od klasyfikacji, nudnej i nieznośnej jak zawsze, gdy stanowi ona początek kursu. Potem idzie krótki, lecz niezły, anatomiczny opis psa i owcy, a dalej charakterystyka ważniejszych rodzin ssaków, ptaków itd. I tutaj widzimy też samą powierzchowność, nieścisłość wyrażania się, a nawet błędy. Np. o rodzinie kotów uczeń dowie się, że są „najdrapieżniejszymi mięsożercami; ale nie będzie wiedział, że mają wysuwalne pazury, co stanowi właśnie ich wybitną cechę. „Szakale—są to *małe wilki w Afryce*” (str. 53). „Przeżuwające mają u każdej nogi *dwa* palce, uzbrojone kopytami.” „Orły i sępy są mieszkańcami krajów *ciepłych* (?)” „Ptaki brodzące z łatwością *chodzą w wodzie* (?)” „Zwierzokrzewy są to zwierzęta, mające niejaki podobieństwo do roślin...”

Podobny wykład znajdziemy w botanice i mineralogii, połączonej z geologią. Oto przykład naukowego, ścisłego określenia: „rodzina wargowatych—jestto rodzina roślin przyjemnie pachnących”, (str. 131)... „Na odwrotnej stronie liści paproci spostrzegamy *żółte* plamki: są to masy nasion połączonych zarodników (!).” „Niektóre z łodyg mchu zakończone są małą kulką: są to właśnie nasiona (?)”

Fizyka i chemia wyłożone są nieco staranniej, chociaż pod względem metody i ten wykład nie wszędzie odpowiada warunkom naukowego kształcenia dziecka. Za wiele tutaj podaje się faktów, nie płynących z osobistego spostrzegania i doświadczenia ucznia; za wiele wyjaśnień pobieżnych. Tutaj, przy wykładzie nauk, gdzie indukcja ma tak szerokie, tak wdzięczne pole, Bert zbyt często rzuca od niechcenia fakty i prawdy naukowe, zamiast do nich ucznia drogą doświadczeń prowadzić. Zresztą faktów i praw w dziale tym jest stanowczo za dużo. Nie pojmujemy, doprawdy, co nowego przynieść może ta niby naukowa geologia, fizyka i chemia w książce Berta, wobec wyborczej małej Geologii—Geikego, Fizyki początkowej—Kramsztyka i małej Chemii—Roscoe? Wogóle trudno określić, jaką wartość wychowawczą posiadać może cały ten raptularz powierzchni, wogóle niemethodycznie, podanej masy faktów, który nazywa się „Pierwszym rokiem nauczania naukowego”? Czyba wartość surowego materyjału, który dobry wychowawca w jednym miejscu rozwinię, w innych poskraca, sprostuje, po swojemu—metodą indukcyjną wyłoży, wreszcie doda mu tej ścisłości, której brak czuć tam na każdym niemal kroku.

Oryginalną i dodatnią stronę książki Berta stanowią „Czytanki” umieszczone po paru pierwszych rozdziałach. Czytanki takie, jako uzupełnienie wykładu, zawsze są pożądane i korzyść przynieść mogą. Szkoda tylko, że treść ich w tej książce jest mało odpowiednią. Również korzystnymi przy nauce mogą się okazać streszczenia rozdziałów i zapytania; wogóle „zapytania” są znacznie lepiej postawione, niż zamieszczone w wykładzie odpowiedzi. Pewną pomoc dla ucznia stanowić będą też liczne (przeszło 420) drzeworyty; chociaż z powodu drobnych wymiarów i niejasności wielu z nich i ta korzyść nieco się zmniejsza.

Nie możemy w piśmie niespecjalnym rozwodzić się dłużej nad tą książką; zaznaczymy więc tylko w paru słowach stosunek tego *podręcznika dla ucznia*—Berta do *metodyki dla nauczyciela*—Hejlperna. Otóż pomimo pozornie jednakowej treści, stosunek jest żaden. Wychowawca, któryby, trzymając się sam sumiennej, istotnie przyrodniczo opracowanej metodyki Hejlperna, chciał dać uczniowi do rąk *jednocześnie* pełną naukową fiurtu książkę Berta, popełniłby błąd stanowczy.

M. Brzeziński.

Romans Astronomiczny.

Uranija p. K. Flammariona. Warszawa. Tłumaczył z franc. St. Kramsztyk.

Książka, o której mówić będę, niedawno narobiła wiele hałasu wśród krytyki... i może wśród publiczności zagranicznej. Echa dobiegły też i do nas, wywołując parę na raz tłumaczeń; w piśmie zjawiały się *oryginalne*

interview'y z Flammarionem. Wreszcie raptem wszystko ucichło: żądana ilość egzemplarzy wydanego dzieła została sprzedana, reklama zrobiła swoje, książka zaś jak była tak i pozostała nie wiele warta, nie zrobiła żadnego przełomu w nauce, nie stała się punktem zwrotnym w szeregu badań, nikogo nic nie nauczyła, wątpliwe bardzo, czy nawet pod względem artystycznym przedstawia choć część tej wartości, jaką jej interesowana reklama przyznała.

W ostatnich czasach w większości prasy naszej, podającej wiadomości z zagranicy, co raz to jaskrawiej objawia się ta bezkrytyczność w traktowaniu spraw obcych. W łamach pism naszych ukazuje się nie rzeczywiste życie zagranicy, nie obiektywnie, bezpośrednio zaobserwowane fakty społecznego i umysłowego życia, ale to, co się pojawia w prasie zagranicznej, a więc przefiltrowane przez całą płataninę interesów osobistych, obcięte, przykrojone do wymagań partii lub koteryi.

Wskutek właśnie tej okoliczności „Uranija” Flammariona i sama osobistość autora zostały u nas wyniesione pod niebiosa, silna reklama zagraniczna dostała się i do nas przez usta naiwnych korespondentek, robiąc szkodę rzeczywiście wartościowym innym naszym wydawnictwom, które z takim trudem torują sobie drogę.

Książka Flammariona składa się z trzech różnych pierwiastków, dość beładnie z sobą pomieszanych. Z jednej strony spotykamy się z szeregiem ścisłych, choć nie nowych faktów z dziedziny astronomii, przedstawionych ze znajomością rzeczy, barwnie, z właściwą autorowi fantazyją, trochę sztuczną, fajerwerkową; wszystko zresztą są to rzeczy znane z jego dzieł poprzednich, jak „Wielość światów zamieszkałych”, „Niebo” etc.

Drugi element erotyczno-poetyczny uzwęźnia się w miłości platonizmo-etrycznej dwojga ludzi, z których on, młody uczonec, astronom-poeta, szukający ciągle rozwiązania zagadek: „czem jestem ja, co się ze mną stanie po śmierci; czem jest świat, dokąd dąży etc.?” ona—młoda i piękna córka Norwegii, doktor medycyny, wielce egzaltowana: Jerzy Spero i Iklea. Flammarion bezwiednie zrobił swego bohatera umysłowo chorym: w jego postępowaniu, myślach bardzo jasno widać neurastenię, z wyraźnymi objawami zбочenia umysłowego, znanego pod nazwą „obędu wątpliwości”. Ich filozoficzne pogadanki o budowie materii, stosunku ducha do ciała, o niezależności jego od materii, pełne nerwowego namiętności, ekstazy, i... braku logiki, możnaby wytłumaczyć tylko tem, że dla zakochanych „słowa... w ustach wietrzeją, na powietrzu stygną”, że mało ich obchodzi właściwie, co mówią; pragną słyszeć głos własny a w istocie bardziej pragnęliby zamilczeć „i tak rozmawiać tylko serca biciem i westchnieniami i całowaniami”.

Robią to, niestety, dopiero poczynając od strony 94-iej, doszedłszy do przekonania „że w tem życiu we dwoje, chociaż tak uroczeniem, czego im jednak *niedostawało*. Te rozmowy o *straszliwych* zagadnieniach bytu lub niebytu, wymiana myśli o analizie ludzkości (!), badania nad celem ostatecznym istnienia rzeczy, rozważania astronomiczne i nasuwające się ztąd kwestyje, zadawałaja *niekiedy* ich umysł ale nie serce”. Dwa te rozdziały: „Amor” i „Zorza północna”, opisujące ich miłość po pierwszym pocałunku, stanowią ozdobę całej książki, posiadają w sobie wiele szczerzej poezji, podniosłego uczucia; są kartką miłości dwojga ludzi, w których życie duchowe przeważało wpływ zmysłów, zrobiło z nich istoty prawie nieziemskie, nienormalne: miłość ich rozwija się na tle kontemplacji nieskończoności, zarówno w świecie ducha, jak i w świecie materii.

Szkoda jednak, że rozdziały te zjawily się dopiero wówczas, kiedy autor zdążył włożyć w usta bohatera cały szereg prawd metafizyczno-spirytystycznych, które wraz z odnośnymi uwagami samego autora stanowią trzeci, najpoważniejszy co do objętości pierwiastek „Uranii”.

Trzy te pierwiastki, złączone razem, osłabiają się wzajemnie. Fakty naukowe tracą na ścisłości w zestawieniu z fantastycznymi mrzonkami o wędrówce dusz z planety na planetę, o bezpośrednim, duchowym porozumiewaniu

się mieszkańców np. Ziemi i Marsa. Odwrotnie, fantastyczność tych pomysłów traci na polocie, zmuszona dźwigać z sobą cały balast poważnych wiadomości z dziedziny astronomii. Szczerzy element erotyczny bruździ jak w jednym tak i drugim wypadku, otrzymując ze strony metafizyki i spirytizmu oświecenie, które z podniosłej miłości dwojga ludzi robi jakiś nerwowy, nienormalny stosunek dwóch osobników, chorych umysłowo.

Czytelnik z trudnością oryentuje się w tem wszystkim, nie może poznać, co autor uważa za prawdę, a co za utwór fantazyi. Dla tego też książki tej w żaden sposób nie można brać za dzieło popularne, oznajmiające czytelnika z faktami astronomii, oraz pewnymi zagadnieniami filozofii: wszystkie fakty są przedstawione jednakowo. Wobec tego nieprzygotowany czytelnik, z pewnością faktów astronomicznych może niesłusznie wnioskować o prawdziwości zjawisk, skonstruowanych przez spirytizm, zaliczanych przez autora do rzędu zdobyczy wiedzy ścisłej; odwrotnie, sądząc z tychże fantazyj, czytelnik łatwo może zakwalifikować całą faktyczną część „Uranii” do utworów czystej wyobraźni.

Głównem zadaniem książki jest udowodnienie: że *dusza niezależny od ciała*, które przemija, składa się właściwie z masy atomów ciągle poruszających się, niestykających się z sobą, utrzymywanych w zależności przez siłę, która niemi rządzi, która jest niezniszczalna; że *dusza jest nieśmiertelna, może się doskonale, wędrując z planety na planetę wcielać się w najróżnorodniejsze postaci, nie tracąc świadomości swego poprzedniego bytu*.

Tezy te, wcale nie nowe, tylokrotnie obrabiane, rzecz prosta, nie dają się jeszcze wcale ani obalić, ani udowodnić przy obecnym naszym zapasie faktów z dziedziny psychologii, znajomości natury materii, siły etc.

Oprócz tej trudności w systemacie filozoficznym Flammariona, jeżeli już przymyślimy tę nazwę, panuje wielki nieład; nie widać w nim tej konsekwencji, tego starania się o ścisłość rozumowania, nie spotykamy tej jednolitości w definicyjach, jaką znajdujemy nawet w najbardziej metafizycznych systematach filozoficznych przeszłości.

Autor wychodzi zwykle ze ścisłych danych naukowych; snując z nich dość luźne wnioski, przychodzi wreszcie do punktu, gdzie wiedza ścisła nic dotychczas powiedzieć nie jest w stanie: wówczas, nie zmieniając tonu, nie wzdragając się wcale, z pewną bezczelnością stawia na miejsce brakujących faktów swoje własne fantazyje i rozumie się dojeżdża zawsze tam, gdzie sobie życzył. Z takimi koziołkami logicznymi spotykamy się tu na każdym kroku. Cała nieość tych elukubracyj bardzo jasno przedstawia się w zamieszczonym na końcu książki testamentem Jerzego Spera, który jest taką siekanką filozoficzną, złożoną z obrzynków różnych szkół filozoficznych.

Wywody swe popiera autor takimi *faktami*, jak wędrówka duszy jego w czasie snu na planetę Marsa, gdzie poznaje swego zmarłego przyjaciela (Jerzego Spera) i jego narzeczoną, oraz rewizyta Spera na ziemi; jako dowody służą wszelkie opowieści o zjawianiu się duchów, o wpływie z odległości jednego osobnika na drugiego etc.

Nawet w faktach naukowych, autor nie jest wolnym od grubych częstokroć błędów, szczególnie wtedy, gdy wyszedłszy po za zjawiska astronomiczne, wkracza w dziedzinę biologii. Jak okazuje się z przypisków tłumacza na końcu książki, błędy te są dość liczne i za poważne, jak na człowieka, który ma pretensyjną do uczoności.

Dalej w kreśleniu różnaitości stworzeń, zamieszkujących inne planety, fantazyja autora niezbyt wysoko lata, rozbijając się o nieznaną faktów biologicznych, oraz zasadniczych praw rozwoju organizmów. Oto jeden z przykładów: Tak np. wiemy, że rozwój w sferze władz psychicznych idzie w kierunku automatyzacji pewnych czynności, funkcji psychicznych. W miarę rozwoju, funkcje świadome stają się coraz bardziej nieświadome. Dla tego też wcale nie można się zgodzić z autorem, aby wyższą formą organizacji psychicznej był stan, w którym istoty odczuwają działania fizyczno-chemiczne, które się w organach ciała ich dokonywają... Tam istota ludzka odczuwa czynności organizmu, jak my

czujemy rozkosz lub ból. Z każdej cząstki ciała, że tak powiem, wybiega nerw, przenoszący do mózgu rozliczne wrażenia, jakich doznaje. Daleko nam jeszcze do tego, mówi o ludziach ziemskich, ośrodek bowiem naszych wrażeń umysłowych przysłonięty jest powikłaniami nerwami zrazów mózgowych i warstw wzrokowych" (sic). Są to cechy właściwe niższym formom psychicznego życia.

Z tego wszystkiego widzimy, że w ogóle byłoby dobrze, aby Flamarion „Uranii” wcale nie napisał, a stałoby się jeszcze lepiej, gdyby nie przełożono jej na język polski.

Książka ta wielu ludziom się podobała. Na wytłumaczenie tego faktu, można przytoczyć starą prawdę, bardzo już często wyzyskiwaną, że przeciętnym ludziom podoba się, interesuje ich, zaciekawia ich najwięcej to, co najmniej rozumieją.

F. Jabłczyński.

BEZ OBLUDY.

Kilka słów z powodu naszej filantropii.

Jesteśmy narodem filantropii i filantropów. Nie znaczy to, iż Angliki albo Francuzi nie przewyższają nas ilością sum, wydawanych na cele dobroczynne; przeciwnie: wszystkie wysiłki naszej Rady Miejskiej i naszego Towarzystwa Dobroczynności — nie mówiąc, rozumie się, o wysiłkach, przez ustawę nie przewidzianych — zmieściłyby się w rocznej ofiarności kilku angielskich lordów; ale nigdzie filantropija nie obsługuje tyłu, co u nas, różnorodnych potrzeb społecznych, nigdzie nie jest takim grzybem, wciskającym się nie tylko we wszystkie rozpadliny i szczyby społecznej budowy, ale i w świeżo wyrąbane jej okna, mające wpuszczać do wnętrza światło słoneczne i ożywcze powiewy. Przyrównanie „dobroczynności” do grzyba może w wielu umysłach zrodzić niesłuszną obawę, że w ten sposób pragnąłbym albo zaznaczyć zgrzybiałość samej instytucji, albo też wydobyć na jaw metryki jej przedstawicieli. Nie myślę ani o jednym, ani o drugim. Dobroczynność, po wszystkie czasy, będzie osłoda losu nieszczęśliwych, a o starożytności metryk nie mógłbym mówić ryczałtowo, gdyż filantropija nasza nie jest bynajmniej przywilejem li tylko starców, kończących pośpiesznie rachunki z niebem. Idzie mi więc o co innego. Filantropija jest zawsze objawem niemocy. W przyszłości najdalej leży ona będzie takie cierpienia, którym, oprócz współczującego serca bliźnich, żaden inny środek nie pomoże. Dzisiaj, jednak, jest jeszcze niejednokrotnie plastrem na rany, których ludzkość mogłaby sobie nie zadawać. Im więcej urzędów, im liczniejsze sfery stosunków domagają się opieki albo pomocy filantropijnej, tym słabszym jest społeczeństwo, tym więcej odbywa się w niem procesów rozkładowych, tym lichszą jest społeczna organizacja i tym słabiej odbywają się sprawy jej normalne. Człowiek, postępujący się szkłami do oczu — nie jest organizmem zupełnie zdrowym; ale taki, któremu zamiast gardła — szklanne lub srebrne rurki trzeba wprawiać, zamiast nóg — kule, zamiast włosów — perukę, zamiast zębów kawałki masy sztucznej i t. d. jest już ustrojem z gruntu wadliwym.

Niechżeby którakolwiek część ciała obchodziła się bez sztucznej pomocy — mówią mal-kontenci. Ale u nas tak nie jest: nie umiemy ani patrzeć ani słuchać, ani trawić ani dotykać bez udziału filantropii. Nie tylko spożywcy zupy rumfordzkiej, ale i właściciele fabryk, gdy idzie o wzory przemysłu, nie tylko goście przytułków noclegowych, ale i postępowi rzemieślnicy, gdy chcą mieć muzeum; nie tylko ślepi i kulawi, ale też i osoby, pragnące obdarzyć kraj sukniami jedwabnymi — wszyscy oglądają się u nas przywykli na rękę dobroczynną, któraby jakimś filantropijnym masażem wyprostowała im członki, przywróciła trawienie, wprawiała w ruch zbieżne serce.

A jednak, pomimo tak znacznej praktyki, nie umiemy sobie radzić w sprawach filantropijnych.

Nieumiejętność ta, czy nieudolność pozwala zarazem zrozumieć, dla czego tak często do owej sztucznej pomocy musimy się uciekać.

Obok warunków, od inicjatywy prywatnej niezależnych, wpływa na to lenistwo myśli i rozpaczliwa bierność. Oto *Kuryjer Warszawski* podał przed kilkoma miesiącami sposób zbierania składek, zwany „Lawiną” albo „kulą śniegową”. Sposób ten zagranicą oddawna jest praktykowany. U nas chciano go użyć na korzyść schronienia dla nauczycielek; rozpoczęło się więc krążenie okólników; ale ani inicjatorowie, ani uczestnicy tej zabawki nie zadali sobie pracy obliczenia, ile pieniędzy potrzebują, oraz ile mogliby zebrać, gdyby się wszystko podług ich intencji stało. *Kuryjer* oblicza skromne wymagania filantropów — na 26 milionów rubli, z których około sześciu milionów marnuje się na kosztą przesyłki składek. Operacja taka musiałaby objąć 67 milionów ludzi t. j., co najmniej całą oświeconą Europę, Ale cóż to może obchodzić jednostki, wyprawiające sobie orgię filantropii?

Nie tylko jednak profani „dobroczynności” nie umieją sobie radzić w sprawach tego rodzaju. Nawet zawodowym naszym dobroczyńcom zarzut podobny można zrobić. Oprócz braku inicjatywy, zresztą, działa wśród nich: rutyna zabijająca wszelką inicjatywę nie patentowaną, prywata — która nie pozwala im słuchać, jak się mówi, kiedy nie wiedzą kto mówi, oraz formalistyka, która tym jest silniejszą im słabszymi będą umysły, im mniej czynnie występuje inicjatywa — czyli im bardziej formalizm może być szkodliwym.

Zgłosił się do nas jeden z członków Towarzystwa Dobroczynności, p. Polaczek, przedstawiając swój, odrzucony przez kolegów, projekt utworzenia w Warszawie „Sierociej orkiestry” — złożonej z dzieci, kształcących się w ochronie przy ulicy Freta, „bo patrząc, mówi on w referacie, na tyle wędrownych kapeli węgierskich kadetów, naddunajskich dzieci Wiednia i inne, które zajmowały estrady koncertowe, powziąłem myśl, że mogłaby je śmiało zastąpić sierocia orkiestra naszych własnych biedaczek, potrzebujących chleba i zajęcia.” Troska o „własnych biedaczek”, bardzo zresztą uzasadniona, skłoniła p. Polaczka do tego, iż poprosił Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, aby zechciało zostawić po sobie „wiekopomne wspomnienie” i orkiestrę utworzyć. Projektodawca nie był osobą, o tyle „cenioną i znaną”, iżby projekt jego od razu stał się „sympatycznym” i uzyskał zgodę przez ukłamywanie. Wszczęła się więc dyskusja, w której przeciwko projektowi orkiestry wystawiono argumenty następujące: brak środków, liczne zajęcia dzieci, łatwość odbierania sierot z zakładu, a więc przerywania nauki. Ani jeden z zarzutów tych nie miał wagi, a jednak zaważyły wszystkie i projekt upadł.

Dwa lub trzy koncerty „sympatycznej lutni” dla „sympatycznej orkiestry sierociej” byłyby zaspokoily skromne wymagania kapelmistrza L., który zobowiązał się wobec p. Polaczka dać dzieciom, przynajmniej w pierwszym roku nauki, narzędzia muzyczne i nuty darmo. Zarzut co do „łatwości odbierania” jest fałszem, gdyby zaś był prawdziwy, stosowałyby się do wszystkich wogóle rzemiosł, wykładanych w ochronce. To też, „po odparciu zarzutów projekt na razie przyjęty został”. Okazało się jednak później, że dzieciom ręce zgrubieją od pracy rzemieślniczej i grać nie będą mogli. Projektodawca znowu zwycięzko absurd ten pokonał, przypominając, że „p. Namysłowski sformował orkiestrę z ciężko pracujących włóścian, że istnieje orkiestra strażacka, oraz, że to wszystko jest niczem w porównaniu z pracą górników, którzy jednak mają orkiestrę własną”; zresztą, zauważył on jeszcze, muzyka mogłaby właśnie stanowić rzemiosło owych uczniów.

Projekt, jak powiedziałem, upadł, zaś na jego miejscu powstał inny: rozdania dzieciom kwiatów doniczkowych do hodowli i nagradzania ogrodników najlepszych. „Myśl doskonała, mówi p. p. Polaczek, i przyjęta — byle tylko na poddaszach, gdzie często woda zamarza albo w suterrenach, gdzie wilgoć, za duch, brak powietrza i światła, lub też w mieszkaniu stróża pod schodami, który okienkiem, jak kret z nory wygląda, Opatrzność raczyła się opiekować temi roślinkami dla zadowolenia i pociechy projektodawcy, który zapewne nie wie, w jakich warunkach znajdują się rodzice dzieci, do ochron oddawanych. Tam, gdzie mieszkają, zwykle kilka rodzin jeden kącik zaj-

muje”. Tak, odrzucono projekt dobry, mogący mieć zarówno moralne jak i merytoryczne znaczenie, a natomiast przyjęto niedorzeczność — byle tylko... byle filantropija nie splamiła się brakiem poważania dobrze zasłużonych ogółowi obywateli, albo też przyznaniem słuszności intruzom.

Maryjan Bohusz.

GŁOSY.

Komisja szkolna. — Stała wystawa. — Z listu Dygasińskiego. — Uzupełnienie.

— (o) Zasiadająca w Petersburgu, pod przewodnictwem ks. Wołkońskiego komisja szkolna zebrała mnóstwo ciekawych o przeciążeniu umysłem młodzieży. Ilość godzin lekcji wynosi w klasie wstępnej — 22, w I—23, w II—28, w III, IV, V, VI, VII, VIII—29. Oprócz tego sporo czasu zajmuje przygotowanie się do lekcji. Komisja zebrała w tym przedmiocie informacje od przełożonych średnich zakładów naukowych, z danych tych okazuje się, że na przygotowanie się do lekcji potrzeba w dwóch pierwszych klasach (I i II) 2½—3 godzin dziennie, w trzech następnych (III, IV i V) od 3½ do 4½, a w wyższych od 4½ do 6 godzin. W ciągu tygodnia więc pierwsza grupa pracuje umysłowo 39 — 46, druga 50 — 60 trzecia wreszcie 60—66 godzin.

Rzecz jasna taka znaczna praca mózgowa w wieku, kiedy organizm rośnie i formuje się, sprowadza nader szkodliwe skutki. Jak wiadomo, praca umysłowa więcej wyczerpuje organizm, aniżeli fizyczna. Dzieci w fabrykach nie pracują obecnie tak długo, jak ich rówieśnicy w szkołach, a starsi uczniowie tyle prawie, co dorośli robotnicy.

Komisja ks. Wołkońskiego doszła do wniosku, że koniecznym jest zmniejszenie liczby godzin zajęć szkolnych i domowych. Dla tego należy zwrócić pilną uwagę na sposoby wykładu.

* * *

— (o) W ostatnich czasach sprawa „podboju rynków wschodnich” wróciła na porządek dzienny, jakkolwiek w zmienionej nieco formie. Zamiast rozgłosnych frazesów widzimy szereg usiłowań praktycznych, na mniejszą zakrojonych skalę, a więc możliwych nieraz do urzeczywistnienia. Bo chociaż przemysł Królestwa ani w Cesarstwie, ani tymbardziej w Persyi i Turcyi nie znajdzie wielkich rynków zbytu, niektóre wyroby, w ilości ograniczonej, niewątpliwie liczyć mogą na nabywców.

Obecnie w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu p. Grzegorzewski, historyk, powieściopisarz i dziennikarz, opowiada szeroko o handlu ze Wschodem, od pewnego czasu zaś istnieje wystawa prób i wzorów, głównie w celu zawiązania stosunków z nabywcami z Cesarstwa założona.

Dotychczas przyjęło udział w wystawie 221 przemysłowców i kupców. Okazy i próby mieszczą się w 7 obszernych salach Muzeum przemysłu i rolnictwa. Przed kilkoma miesiącami zarząd wystawy wydał katalog, który rozesłano w ilości 4,000 egzemplarzy. Ogłoszenia rozklejano na kolejach żelaznych, na parostatkach i t. d. W kilku przemysłowych i handlowych miastach Cesarstwa ustanowiono korespondentów, którzy oprócz informowania miejscowej publiczności o wystawie, zobowiązali się dostarczać zarządowi jej informacji. Wiadomości, zebrane od korespondentów, w formie okólnika stale co miesiąc zarząd przesyła wystawcom.

W ciągu 8-miu miesięcy zwiedziło wystawę 2,710 osób, z tej liczby przypada na Cesarstwo 18%, na prowincję 26%, na zagranicę — 7%, reszta na Warszawę.

Zarząd w sprawozdaniu zapewnia, że nie szczędzi starań w celu zyskania jak największej liczby wystawców i rozwoju działalności informacyjnej.

* * *

— Dygasiński w ostatnim liście do *Kuryjeru warszawskiego* opisuje nowe kolonije, zakładane w okolicach miasta Itajahy, nad rzeką tego nazwiska. Przejmujący grozą opis spotkania się autora z wychodźcami przytaczamy dosłownie:

Minęliśmy około 29 — 30 kolonij i wydostaliśmy się na przestrzeń, jaką u nas widzieć można po wycięciu lasu. W oddaleniu gdzieś dym bucha kłębami, pali się — to nowy kolonista na wyznaczonym sobie terytorjum rozpoczyna gospodarkę od spalania ws ystkiego, co rośnie na tej dziewiczej ziemi.

Jeszcze zwawiej pędził teraz koń, naglony przeczemnie, i wnet dotarłem do brzegu lasu. Tutaj w bud ch, w ruinach jakiegoś starego domostwa, mieszkają jacyś ludzie.

Dosyć było tydzień w Ameryce Południowej, ażeby potem nieomylnie rozpoznawać fizyognomię polaka.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekłem do jakiegoś człowieka, który stał przy baraku. A ten zdjął czapkę, szeroko otworzył usta i w parę minut byłem tak obłożony przez ludzi, że koń mój kroku zrobić nie mógł.

Nie macie wyobrażenia, ile tu łez popłynęło w prz - ciągu pół godziny...

Powiedziałem im, że przyjeżdżam z wizytą do nich z Warszawy, aby zobaczyć, jak się mają.

Dopiero jęki rozpaczy, krzyki i płacz...

Na wspomnienie kraju ludzie rzucają się do mnie, jak szaleni, przeklinają chwilę, w której opuścili ojczyznę, zlorzczą agentom, doradcom; słowem, mam przed sobą scenę, której słowami nie jestem w stanie oddać...

— Jak pan wróci, niech pan da znać od Józefa Szczepańskiego Adamowi Szczepańskiemu w Drogiskach przez Mławę, żeby się tu nie ważył przybywać; niech go Matka Boska bronil — woła jeden.

— Panie, panie, zlituj się nademną, napisz do proboszcza ks. Ociechowskiego w Orlu, stacja Izbica, niech powie ludziom od Józefa Rutkowskiego i Ignacego Biernackiego, od Augustyna Nowaka, Antoniego Więckowskiego i innych, żeśmy strasznie nieszczęśliwi! Żyjemy jak zwierzęta w lasach, ani ludzi, ani kościoła.

— Całe życie będę służył darmo! — woła jakiś chłop szpakowaty, lecz tęgi jeszcze — a niech kości złożę na swoim cmentarzu.

W ekstazie dziwnej jakiejś tłoczą mi się do rąk, do nóg, do szyi, nie mogę sobie dać rady z rozżalonymi i nieszczęśliwymi ludźmi.

— Panie, dzieci mi wymarły! — woła jakaś kobieta, która w miejsce oczu, ma tylko dwa czerwone doły.

— Stasia umarła — wykrzykuje ktoś znów. — Niech pan da znać do Smolan przez Mławę do Jana Szczepkowskiego od brata Leona.

Tu znowu Jan Gawroński ciśnie się do mnie przez tłum i woła:

— Z nieba cię tu Pan Bóg zesłał, mój panie, napisz odemnie do proboszcza Smoleńskiego w Drobinie, opowiedz mu o naszej strasznej nędzy!... — Mój Boże, mój Boże!

Nie skończyłbym wliczać wszystkich próśb, błagań, zaklęć, które wyszły z ust tych nieszczęśliwych.

* * *

— Z powodu zamieszczonego w poprzednim numerze głosu o młodych ogrodnikach należy zaznaczyć, że właśnie *Ogrodnik polski* drukować zaczął tak długo oczekiwana odpowiedź p. Hozera. Numer *Ogrodnika*, w którym znajduje się początek odpowiedzi, z datą 15 stycznia, otrzymaliśmy w piątek, t. j. 23, kiedy *Głos* był już pod prasą. O artykule p. Hozera pomówimy, kiedy zostanie wydrukowany w całości.

Z OBCEGO ŚWIATA.

„In darkest England” generała Bootha. — Armija Zbawienia, jej działalność i powodzenie. — Nędza wielkich miast. — Kolonije pracodawcze Bootha.

Co zima w wielkich miastach Europy ponawia się kwestyja nędzy, która właśnie w tej porze roku, gdy potrzeb jest więcej a zarobków mniej, wychodzi na jaw w całej swej grozie. Zima tegoroczna, niezwykle surowa, wydatniła też w zupełności całą bezsilność zwyczajnej filantropii. Tym większej wagi nabierają przeto wszelkie projekty, wskazujące nowe praktyczne sposoby walki z toczącą ludzką raną pauperyzmu. Projekty takie powstają dość często, oddawna jednak żaden z nich nie budził tak powszechnego uznania, jak projekt „generała” Bootha, zawarty w wydanem w listopadzie r. z. dziele p. t. *In darkest England and the Way out*.

Imię autora nie jest zapewne obcem czytelnikom, nosi go bowiem założyciel i wódz („generał”) „Armii zbawienia” (Salvation Army), tej dziwacznej sekty religijnej, o której pisano tyle przed kilku laty. Pochody uliczne prze-

branych po wojskowemu tłumów, ze sztandarami i muzyką, odezwy wzywające do walki z dyjabłem, zapowiedzie ataku na takie a takie miasto, raporty o pomyślnych potyczkach — wszystko to dawało powód wolnomysłnemu mieszczaństwu do mniej więcej dowcipnych natrząsań się z ciemnoty tłumów, dających się usidlać jakimś religijnym kuglarzom. Armija szerzyła się coraz bardziej, szeregi jej zwiększały się z dniem każdym, pomimo to właściwa jej działalność, zarówno jak i powody jej powodzenia — pozostawały nieznanymi dla wykształconej publiczności. Pogardliwa jednak obojętność inteligencji została niebawem zachwiana. W roku 1889, podczas wielkiego strejku dokowego w Londynie, ujrano ze zdumieniem, że właśnie ta wysmiewana Armija i jej przewodzcy zrobili najwięcej dla ulżenia panującej podówczas nędzy. Najzagorzalsi przeciwnicy przyznać musieli, że wiele tysięcy ludzi, zwłaszcza dzieci, zawdzięcza swój ratunek jedynie „kuchniom ludowym”, założonym przez Armiję. W jesieni znowu roku zeszłego pogrzeb generałowej Booth zwrócił powszechną uwagę. Za trumną widziano 200,000 ludzi, z których większość przejęta była tak szczerą i serdeczną boleścią, że wszyscy zadali sobie pytanie, kto są w istocie ci „kuglarze”, którzy umieją zdobywać serca tylu ludzi.

Rozpoczęte poszukiwania wykazały, że teraźniejszy „generał” był przed 25 laty niezamierzonym metodystą, bolejącym szczerze nad upadkiem religii i moralności swych współbraci. W celu nawrócenia grzeszników zaczął on występować w roli kaznodziei ulicznego, żona dopomagała mu w tem gorliwie. Im jednak lepiej zapoznawali się oni z warunkami życia ubogiej ludności Londynu, tym bardziej zmieniał się charakter ich działalności, przybierając coraz wyraźniej cechę propagandy bractwa i czynnej miłości. Założona przez nich „Armija zbawienia”, pomimo swych dziwactw, w gruncie rzeczy była i jest bractwem, mającym na celu nieść pomoc i wsparcie głodnym, opuszczonym i zbłąkanym, pociechę zaś strapiionym. Religijny zapał, ożywiający członków, nadaje ich działalności filantropijnej cechy zupełnie inne, niż obłudna dobroczynność dam światowych i oschły biurokracizm instytucyj miłosierdzia publicznego. Ten wzniosły charakter wysmiewanej sekty zapewnił jej to ogromne powodzenie, jakie miała dotąd. Co do swej organizacji „Armija” przypomina dawne zakony, posłuszeństwo bezwzględne rozkazom przełożonych jest tu wymaganem tak ściśle, jak w armii rzeczywistej. Dzieli się ona na 2,864 korpusy, w których oficerów różnych stopni (zarówno mężczyzn jak i kobiet) jest około 10,000 ludzi. Liczba szeregowców jest nieznaną, wynosić ona wszakże musi dziesiątki tysięcy, bo „Armija” rozrzuconą jest w 34 krajach lub kolonijach, wydaje 42 pisma i dochody jej roczne wynoszą około 750,000 f. st. (przeszło 6 milionów rs.). Dla wstąpienia do szeregów „Armii” potrzeba się poddać 4 tygodniowej próbie pod dozorem sierżanta, poczem kandydat (czyli „jeniec”) zaprzysięga t. zw. „Artykuły wojenne”, w których oprócz uznania dogmatów ogólnochrześcijańskich zobowiązuje się on do wstrzemięźliwości zarówno od napojów wysokowych, jak i narkotyków (tytoń, opium, morfina), do posłuszeństwa władzom armii i do niesienia pomocy wszystkim potrzebującym jej ludziom.

Wspomniane na początku dzieło Bootha jest owocem jego 25-letniego doświadczenia. Tytuł jest naśladowaniem tytułu dzieła Stanleya (*In darkest Africa*), które zyskało taką popularność. Booth porównywa położenie ubogiej ludności Londynu z położeniem ludności afrykańskiej i znajduje, że nie jest ono wcale lepszem. Chcieć zapewnić biedakom takie utrzymanie, jakie otrzymują zbrodniarze w więzieniach, byłoby przy stroju dzisiejszym, powiada Booth, najczystsza utopija. Byłoby już dobrze, gdyby wszyscy mogli mieć to, co ma każda dorozkarska szkapa: dach nad głową, jaki taki pokarm i pracę. Niestety, losowi szkapy, według obliczeń Bootha, zazdrościć może w Wielkiej Brytanii około 3 milionów ludzi, czyli $\frac{1}{10}$ całej ludności. Ten świat nędzy, gnieźdzący się w cuchnących zaułkach miast, rozpada się na 3 koncentryczne koła. Największy z nich stanowią uczeni biedacy, nie mogący zapracować na swe utrzymanie, dalej idzie koło żyjących z występku, wreszcie profesjonalnych zbro-

dniarzy. Granice tych 3 rodzajów nędzy nie są stałe. Gdy rok jest dobry, gdy zapotrzebowanie pracy jest wielkie, koła te zwązają się, gdy rok jest — zły koła rozszerzają się. Nikt z mieszkańców tych zaczerpniętych kół nie może być pewien, że jeżeli nie on, to jego dzieci nie wpadną kiedy w sam środek tych kół, w odmetę zepsucia i zbrodni.

Autor, na podstawie doświadczenia i obserwacji swojej armii, rysuje przejmujące obrazy tej nędzy. Jednym z najokropniejszych jej przejawów jest bezwzględnie brak dachu nad głową, a jednak pomimo tysięcy instytucyj filantropijnych co noc setki osób błądzą po ulicach bez celu, z jedyną myślą wynalezienia kątku, gdzieby można się położyć bez zwrócenia uwagi policyi. Oficerowie armii mają obowiązek co noc obchodzić ulice i okazywać w miarę możliwości pomoc tym nieszczęśliwym. W pewną noc zeszłego lata, odznaczającego się wielkiem ożywieniem przemyslowem, jeden z oficerów znalazł na wybrzeżach Tumizy, w miejscach, gdzie policyja jest łaskawsza, 368 osób śpiących na ulicy.

Nie mogąc dla braku miejsca wdawać się w szczegóły opisu Bootha, przechodzimy do drugiej części jego pracy, do środków zaradczych. Przedewszystkiem poddaje on krytyce praktykowane dotąd sposoby walki z nędzą. Dobroczynność prywatna nie usuwa złego, bo nie usiłuje nawet zmienić warunków życia tych mas upośledzonych. Emigracja taka, jaka się praktykuje obecnie, usuwa tylko ubogich z kraju, nie daje im jednak żadnej możliwości polepszenia swego losu za oceanem. Projekty wreszcie w rodzaju George'a, lub Bellamy'ego są wprawdzie dla Bootha sympatyczne, nie są to jednak projekty, dające się urzeczywistnić zaraz. Oto, powiada on, John Jones, zdrowy robotnik, ale w łachmanach, od miesiąca nie je on obiadów i naprzemo poszukuje pracy, obawiając się codziennej śmierci głodowej w najbogatszym mieście świata. Co z nim począć? Indywidualiści powiadają, że wolny bieg spraw naturalnych zapewni przeżywanie najzdolniejszych; że za parę pokoleń otrzymamy szlachetniejszy typ ludkości. Przypuścmy, że tak jest, ale cóż począć z tym oto Jonesem? Inni powiadają, że widać już zorzę wielkiego przeobrażenia społecznego, że blizkim jest czas nowego podziału bogactw, że wkrótce zniesioną będzie własność prywatna, że żołądki wszystkich będą napełnione i każdy będzie miał pracę. Bardzo to pięknie, powiada Booth, ale Jones jest głodny i nie ma czasu czekać. Co z nim począć?

Plany Bootha nie mają w sobie „nic fantastycznego.” Nie chodzi mu o rozwiązanie kwestyi społecznej, to jest, o zmianę ustroju obecnego, nie zapewnia on nawet, że wszyscy cierpiący znajdą pomoc, utrzymuje tylko, że jego plany mogą przynieść istotną korzyść znacznej części nędzy dzisiejszej, stwarzając dla niej nowe warunki istnienia. W szczegółach planu wykazuje Booth wielką pomysłowość i gruntowną znajomość przedmiotu. Obszerne stosunki w rozmaitych krajach, dotychczasowa działalność dobroczynna Armii dały mu masę cennych spostrzeżeń, które zużytkował znakomicie.

Żeby wprowadzić dzisiejszych nędzarzy z tego materyjalnego i nieraz moralnego upadku, w jakim się znajdują obecnie, należy zapewnić im na stałe możność zarabiania własną pracą na życie. Gdybyśmy chcieli jednym słowem wyrazić podstawową myśl Bootha, powiedzielibyśmy, że proponuje on *publiczną organizację pracy*, t. j. to samo, co figuruje obecnie we wszystkich dalej posuniętych programach politycznych angielskich.

Organizacja pomocy, wedle planów Bootha, rozpada się na 3 stopnie. Pierwszym z nich są *kolonije miejskie*. Pod tą nazwą rozumie generał przytułki, w których każdy potrzebujący znaleźć może pokarm i mieszkanie wzamian za pracę. Dla wielu biedaków będą one tylko chwilowem schronieniem, zanim nie znajdą innego zajęcia, dla innych znowu, którzy nie mogą znaleźć innego zajęcia i zasługują na dalszą opiekę, będą one przejściem do drugiego stadyjum, do *kolonij wiejskich*. Pierwowzorem kolonij miejskich mają być utrzymywane już przez Armiję Zbawienia przytułki. W 5 przytułkach noclegowych Armii biedacy za 4 pensy (15 kop.) znajdują obecnie czysty i zdrowy nocleg, oraz wieczrę i śniadanie. Istnieje

też już pracownia Armii, w której ludzie, nie mogący wnieść i tej skromnej opłaty, znajdują możność zarobienia niezbędnej sumy.

Kolonije miejskie mają być właśnie takimi przytułkami—pracowniami. W kolonijach tych mają przedewszystkiem wyrabiać przedmioty potrzebne dla celów wielkiego przedsiębiorstwa filantropijnego, tak żeby nie robić konkurencyi robotnikom.

W związku z kolonijami pozostawać będzie biuro stręczenia pracy, czyli t. zw. „giełda pracy”, oraz oddział zbierania odpadków domowych. W Londynie, jak utrzymuje Booth, marnuje się w każdym gospodarstwie daleko więcej odpadków, niż np. w Paryżu. Zbieranie tych odpadków będzie zadaniem kolonij miejskich, przetwarzanie zaś ich na przedmioty użytku odbywać się będzie głównie w kolonijach wiejskich.

Te ostatnie zakładane być winny w miejscowościach, mających tania, wodną komunikację z miastami. Głównem ich zadaniem będzie produkowanie jarzyn i wogóle ogrodnictwo—dwie gałęzie pracy nieznanne prawie w Anglii, a dające ogromne dochody ogrodnikom w okolicach Paryża, gdzie każdy kawałek gruntu obłany jest obficie potem ludzkim, przy pomocy rąk i motyki. W związku z ogrodnictwem pozostawać będzie produkcja innych przedmiotów, dotąd wyłącznie niemal sprowadzanych z zagranicy, jako to: drób, jaja, wieprze i t. d. Tu też powstaną fabryki przetwarzania odpadków miejskich na przedmioty użytku. Kolonije wiejskie, według planów Bootha, będą niejako praktyczną szkołą agronomiczną, w której biedacy miejscy przygotowują się do samodzielnego życia.

Kolonija wiejska jest jednak tylko stadyjum przejściowem. Po wyjściu z niej przyszli klienci Bootha będą mieli do wyboru, albo spółdzielcze stowarzyszenia rolnicze w Anglii, albo drobne dzierżawy, pozostające pod opieką kolonij, albo wreszcie emigrację za ocean. Przytaczaliśmy już zdanie Bootha o emigracji obecnej, zdaniem jego powinna też ona ulec radykalnej zmianie. *Kolonije zamorskie*—to trzecie stadyjum projektów. Armija Zbawienia nabywać będzie obszernie przestrzenie ziemi w Ameryce, Australii, lub Afryce, urządzać je odpowiednio i przesiedlać tam ludzi, przyzwycających już do pracy, jaka się tam okaże niezbędną. To świadome kierowanie emigracją pozbawi ją wszystkich stron ujemnych.

Przedstawivszy ogólny zarys planów Bootha, nie możemy, niestety, zapoznać czytelników ze szczegółami, w których najsilniej uwidoczniła się oryginalność generała i jego praktyczne zdolności. Dodamy tylko, że element wyznaniowy zupełnie jest usunięty z tych planów, że natomiast Booth kładzie silny nacisk na karność wewnątrz tych kolonij, karność, której brakowi przypisuje on głównie niepowodzenie usiłowań kooperacyjnych. Pod tym względem Armija Zbawienia, nawykła do posłuszeństwa przełożonym i do rozkazywania podwładnym, daje najlepszą gwarancję powodzenia całemu przedsięwzięciu. Sumę potrzebną na wprowadzenie w życie tych kolosalnych planów, oblicza on jednorazowo na 100,000 f. st. i później na 30,000 rocznie.

Plany Bootha zyskały, jakeśmy powiedzieli, powszechne uznanie. Pisma angielskie spełnione były listami, z wyrażeniem uznania członków rodziny królewskiej, mężów stanu, biskupów rozmaitych wyznań, przedstawicieli klas wyższych i t. d. Co więcej posypały się piniądze i dziś już generał Booth rozporządza pono połową żądanej kwoty. Czy plany generała przyniosą spodziewaną korzyść, trudno odpowiedzieć na razie, bez wątpienia jednak mają one podstawę daleko racjonalniejszą niż zwykłe projekty *filantropijne*. Zachodzi jednak ważne pytanie, czy odpowiednim jest łączenie tych planów z Armiją Zbawienia. Booth przytacza wiele argumentów na korzyść tego połączenia. Możliwość się zgodzić, że przy warunkach obecnych jest ono zupełnie odpowiedniem. Czy jednak te warunki się nie zmieniają w razie śmierci generała, czy w łonie samej Armii nie powstaną rozterki i niesnaski, czy będzie ona zawsze posiadała tę moralną siłę, jaką ma dzisiaj.

W ostatnich tygodniach doszła nas wiadomość, że jeden z głównych pomocników Bootha, niejaki Smith usunął się z Armii i wystąpił z silną agitacją przeciw generałowi. Fakty po-

dobne zdarzać się mogą częściej, a wówczas cała ta Armija, której potęga jest tylko moralną, rozlecieć się może w zupełności. Czy nie właściwsiem wobec tego byłoby poruczenie tej sprawy uprawnionym przedstawicielom społeczeństwa—władzom centralnym i miejscowym. Zachodziłaby tu być może obawa, że oschły biurokratyzm zastąpi to serdeczne ciepło, jakim się odznacza Armija Zbawienia, w każdym razie jednak sprawa zyskałaby na trwałości i pewności. Jesteśmy przekonani, że prędzej czy później, w tej lub innej formie, społeczeństwo będzie musiało samo zająć się tą sprawą, nie oddając jej kierownictwa w ręce grup prywatnych, chociażby ożywionych najlepszymi chęciami.

J. H. Siemieniecki.

Korespondencyja „Głosu”.

Z nad Horynią

I.

Posiewy oziminy powszechnie są zadawałniane, zbiory więc mogą być wcale niezłe, chociażby jednak były znakomite, chociażby ziemia lukullusowa chciała nam sprawić ucztę, a zagranica najwyższe ofiarowała ceny, to i wtedy byłoby niedobrze z powodu „teraźniejszych czasów”. Bo takie oto nastąpiły chwile, że najlepsze złem jest, a złe gorszem niż było w przeszłości, kiedy siwy włos społecznych wyrzekaczy młodzieńczą cieszył się barwą. Złośliwi twierdzą, że domowy nasz pesymizm—to zwykła choroba siwowłosych obywateli.

Nizki poziom wykształcenia ogółu istotnie ciężkim brzemieniem przyniata całokształt stosunków życiowych. Pojęcie przyczynowej konieczności faktów społecznych, najłżejsze bodaj pojęcie o ewolucyjnym ruchu ludzkości, wśród szerszych kół ogółu naszego nie istnieją zgoła.

Zdawać by się mogło, iż opasał nas dokoła mur tak wysoki, że błękitu nie widać, świeższy podmuch wiatru nie przebija masy kamiennej, a wewnątrz zwały się w bezrozwojową skamieniałość przedpotopowe formy bytu pospolu z martwym całokształtem myśli społecznej, jaką świat dawno już przeżył i przeżywszy odrzucił. Nie ulega najmniejszej kwestyi, że ziemia stwo przechodzi obecnie ciężki kryzys ekonomiczny. Lecz my właśnie przy czyn tego albo nie rozumiemy zgoła, albo rozumiemy je zaledwie pozornie. Ogół twierdzi tylko, że jest źle i to „źle”, nie łącząc się z świadomością faktów poprzedniczych, wyswabadza się coraz bardziej z obsłonki warunków realnych, zatracając stopniowo charakter kategorii życiowej, a przybrawszy poniekąd postać mityczną, zawisa między niebem a ziemią, jako nieustanna groźba czegoś—czego przewidzieć nie można i uniknąć niepodobna.

Na fantastyczną tę znowę złożyły się przeważnie dwa czynniki—trudne warunki miejscowe, zwykle przeceniane i wyolbrzymiane do rozmiarów niesłychanej potęgi i gaceziarskie wieści o współczesnych wypadkach na zachodzie. Dodać wypada, że czynnik ten ostatni z konieczności samej musi u nas nosić charakter, że tak powiem, bajeczny. Ostatnie wyniki badań ekonomicznych i społecznych są tu u nas powszechnie niemal tajemnicą, dowiadujemy się więc tylko z gazet o strasnym kongresie w Halli, o okropnej mowie Liebknechta, o jakichś morderczych trade-unionach i strejkach i na kanwie takich, oto wieści powstają jaknajpotworniejsze plotki, zabawne wymysły i fantastyczne brednie, a wszystko to razem służy za materyjał do zbudowania ohydneho jakiegoś straszdyła, co siedzi gdzieś daleko na Zachodzie i takie jest potężne, że „w teraźniejszych czasach” musi być źle, a takie zajadłe, że lepiej w żaden sposób być nie może.

Nieświadoma, wprost odruchowa obawa teraźniejszości, oraz fatalistyczna niemal wiara, że to co jest, na gorsze tylko zmienić się może wytwarza najobrzydliwszy rodzaj pesymizmu,—pesymizm pozbawiony nadziei a zatem usiłowań naprawienia istniejących stosunków i rzeczy. Ztąd właśnie wypływa przesadzona teńhorzliwość i brak odporności, tu znajdują usprawiedliwienie próżniactwo i indferentyzm,

tam nakoniec szukać należy przyczyny tej dziwnej bierności w coraz bardziej gmatwających się stosunkach majątkowych tutejszych właścicieli ziemskich. Zwłaszcza owa bierność przybiera z biegiem czasu coraz to monstrualniejsze kształty. Tak na przykład na liście nieakuratnych płatników banku, spotykamy nazwisko krociowego pana X, jutro dowiadujemy się o upadłości milionowego pana I, pojutrze rozchodzą się wieści, że znany magnat Z, zachwiał się i że lada dzień można oczekiwać ogłoszenia upadłości. Panowie X, I i Z, byli to ludzie bardzo zamożni, zagranicę nie jeździli, fantazyj kosztownych nie mieli, żyli skromnie, a jednak doszli do likwidacyi... Gdzie się to wszystko podziało niewiadomo—po prostu rozeszło się wskutek braku cugli, braku, ściśle związanego z bezprzykładną biernością zlikwidowanych. Zapytani panowie ci objaśnić swego krachu nie umieją, albo ofiarowują szablonową i nadwyzczaj tu u nas rozpowszechnioną odpowiedź, że gospodarstwo to zabawka nader kosztowna, że w teraźniejszych czasach, bawić się tem mogą tylko ludzie bardzo bogaci... Znowu więc występują „te czasy”, z którymi żeby walczyć trzeba mieć miliony, a i to radykalnym środkiem nie jest—przedłużyć tylko proces szamotania się

Ztąd mały zaledwie dystans odgradza nas od dalszego i przyznać należy, nader konsekwentnego rozwoju bierności—od wyborowego gatunku filisterstwa. Przypuszczam pan Iks lubi przyjemną grę w winta, ceni spokój, smakuje w dobrem jadle i dba wielce o możliwie najlepsze trawienie. Nieszczęściem fortuna pana Iksa ostatnimi czasy zagnatwała się nieco,—destrukcyjne objawy występują coraz silniej, tempo przejawu takowych przyspiesza się, słowem położenie wymaga poważnej pracy, usilnych starań, oraz czynności, niweczających najczęściej pożądany spokój i wymagających poświęcenia wintowych chociażby rozkoszy. Zachodzi więc przykra kolizya, nad usunięciem której łamać głowy nie trzeba. Czasy oto są tak straszne, że walka z nimi siły niszczy napróżno, pan Iks zatem z konieczności musi być tylko widzem, co niepocziwe czasy z fortuną jego wyprawiają. Głową nie przebiję się muru, dla uniknięcia zaś przypadkowych guzów i obrażeń, ofiara tegoczesnej niepocziwości obwija się w miękką i barwną oponę i przyglądając się zdala harcom „tych czasów” z piękną glebą, uprzyjemnia sobie spektakl czem i jak może. W dalszym ciągu opona staje się coraz miłszą, rozkosze i przyjemności coraz niezbędniejsze—a niepocziwość mnoży wesele, trzebi las, dewastuje glebę i systematycznie przygotowuje *inevitable necessitę* w postaci mniej lub więcej groźnego konkursu.

Słuszność przyznać każe, że w większości wypadków działa tu zupełnie szczerą wiarą w nieomnożność skutecznej pracy, że demoralizujący wpływ pesymizmu, odbija się na najlepszych nawet jednostkach, że charakter najwrażliwsze najłatwiej ulegają zarazie i najbardziej przyczyniają się do posiewu trujących ziaren zniechęcenia. Ogólny rzut oka na całokształt nastroju ogółu wprost widza zdumiewa, głębsze zaś wnikięcie w treść i istotę takowego przekonywa, że mamy do czynienia z objawem patologicznym, że to choroba i groźna i smutna.

Edward Paszkowski.

Przegląd społeczny.

Łódź, (Kor. „Głosu”). U nas w ogóle nic nowego a ważnego nie słychać. Do miasta ciągle napływają tłumy włóciaków ze wsi okolicznych, poszukując zarobku, gdyż zagraża im kompletna nędza, albowiem zboże tegoroczne prawie zupełnie sprzedali. Toż samo widzimy w Zgierzu, Pabjanicach i t. d.—Przytułek położniczy prawdopodobnie wkrótce uzyska zatwierdzenie, ustawa bowiem zyskała już zatwierdzenie władzy, a i funduszy zebrano 13,700 rs.—P. Silberstein, fabrykant miejscowy, zobowiązał się publicznie założyć przytułek dla sierot żydowskich. Dotychczas mamy taki przytułek tylko dla sierot ewangelickich, jedni więc katolicy nie mogą się jakoś zdobyć na podobny zakład.—*Pracownik.*

Łomża. (Kor. „Głosu”). Radbym przedstawić czytelnikom kilka luźnych uwag o młodzieży polskiej naszego miasta, sposób życia której daje wiele do myślenia. Młodzież, licząca przeszło 100 osób, zajmuje się przeważnie pracą kancelaryjną w miejscowych biurach i przedstawia wielką mieszaninę osób różnego pochodzenia, różnego wieku, różnego wychowania i różnego wykształcenia. Są np. tacy, którzy zaledwie czytać i pisać po polsku umieją, a są i tacy, którzy otrzymali wyższe wykształcenie naukowe. Wprawdzie tych ostatnich jest nie wiele, ale w każdym razie jest ich przeszło 10%. Romanie spędzają oni czas wolny od zajęć. Większość uprawia gorliwie walkę na zielonem stoliku i bilard, część bawi się w przelewanie z pustego do próżnego w towarzystwie poci pięknej, a część tylko, bardzo mała część uprawia ozytanie książek, przeważnie treści belletrystycznej. Łączności między tą młodzieżą niema prawie żadnej, gdyż uważają się za bardziej wykształconych i przedstawiają tym sposobem uprzywilejowaną część młodzieży nie chcą się zbliżyć do niższych i mniej umiejących, z którymi oni nie mogliby i nie mieli o czem rozmawiać, drudzy zaś, ci maluczczy, niechęca narzucać się pierwszym i w ten sposób jedni żyją zdala od drugich. Kto bardziej winien istnieniu takiego stanu rzeczy, łatwo powiedzieć. Kto więcej ma wykształcenia, temu łatwiej zrozumieć obowiązki, jakie ma względem społeczeństwa.—B.

Radzymin. (Kor. „Głosu”) W ostatnich czasach wyemigrowali, jak twierdzi vox populi, do Brazylii: wójt gminy Radzymin, kowal i kominiarz. Wójt oprócz deficytu w kasie, wynoszącego przeszło 200 rubli, postarł się przed wyjazdem ulżyć kieszeniom współobywateli, bądź to przez pożyczki, jakie na gwalt zaciągał, bądź też biorąc zadatki na las, którego sprzedaż miała być później uskuteczniłą. Ruchomy inwentarz w wigiliję wyjazdu został zabrany podobno przez krwawych wójtów. Włoszanie na temat tego wyjazdu snują domysły, „że musi tam być dobrze, kiedy aż wójt nasz pojechał”. Kominiarz tak był pewny skarbów na drugiej półkuli, że prosząc przyjaciela o opiekę nad żoną i dziećmi, najsołenniej przyobiecał mu wkrótce przysłać pieniędzy, za które mógłby mu rodzinę przewieźć i sam przyjechać. Złote marzenia! Z okolicznych wiosek o wyjazdach nie słyhać. Sposprzeżeń, jakie dotąd zrobiłem, uogólniać nie mogę, jak również z wiadomości otrzymanych z jednej wioski wyprowadzać wniosków o całym ludzie okolicznym. Nie od rzeczy jednak będzie zaznaczyć choć drobny fakiel, że w Nadmie lud stawia opór „interesom” żydowskim, ocenia ich należyście, a karczmą handluje niemal wyłącznie wyrobami tytoniu.—Cichomir.

Koniń. (Kor. „Głosu”). Zdziwiająca jest lekkomyślność, z jaką ludzie wygłaszają sądy o swych bliźnich, choć przyswójce uczy, że trzeba bezczknie soli zjeść z kimś, —zanim wyda się o nim opinię. Lekkomysłność ta jest szczególnie uderzająca gdy chodzi o lud wiejski, z którym ten ani półkwatka soli nie zjadł, który mu zaprzecza przywiązania do ziemi, nie zgłębiwszy pobudek pchających masę za ocen. Opowiem kilka faktów—niech one same mówią za siebie. Pierwszy przykład zdaje się z pozoru przemawiać za sądem, nazwanym przeze mnie lekkomyślnym. Franciszek Golan, posiadacz sześciu mórg ziemi, należał do najpierwszych wychodźców z tutejszej okolicy. Służył on za włodarza na folwarku M. a właśnie ta okoliczność zdradza jakąś anormalność. Tak było w istocie: ojciec sprzedał mu osadę z obowiązkiem spłaconia siostry, i na tam całą rzecz się zahaczała, że nie było pieniędzy na spłatę. Franciszek znalazł położenie rolnictwa, niechciał zaciągać pożyczki, aby nie stać się parobkiem lichwiarza, wypuścił więc gospodarstwo szwagrowi, a sam przyjął obowiązek na folwarku. Rok za rokiem upływał—a położenie rzeczy nie zmieniło się; szwagier nie dotrzymywał zobowiązań, nie wypłacał nawet alimentów ojcu, skarżąc się ciągle na ciężkie czasy. Tymczasem ci i owi, którzy popłynęli do Ameryki, przysłali z tamtąd pieniądze na wypłaty, i donosili bajeczne rzeczy o zarobkach tamtejszych. W położeniu bez wyjścia, zapewne Golan marzył o owej Ameryce i przemysłował nad sposobami dostania się do niej; cóż więc dziwnego,—że skoro posłyszał o możności pojechania darmo, nie wahał się ani chwili. Na moje zapytanie, co go pcha tak daleko, kiedy tutaj nie doznaje niedostatku, odrzekł: „Chciałbym przed śmiercią być gospodarzem.” Nie wątpił on ani na chwilę o tem, że zebrawszy potrzebną sumę na spłatę siostry, powróci i osiedzi na ojcowiznie. Dla ziemi więc odważył się na podróży daleką, na niepewne losy. Niezaprzeczenie pomiędzy tymi, którzy wybierali się, była spora garść lekkomyślników, utracijuszów, szukających pieczonych gołąbków za morzami, ale przeważnie jadący myśleli o powrocie i polepszonym bycie w przyszłości pomiędzy swymi. Wszakże z Ameryki północnej przyjeżdżają ci i owi, dla zobaczenia się z rodziną, dla uporządkowania interesów, i albo wracają znów za ocean, po dalsze zarobki, albo pozostają w kraju, nie poginęli ani na morzu, ani od dzikich zwierząt, ani od dzikich ludzi. Czyżż lud ma przywiązanie do ziemi, niech świadczy jeszcze następujący fakt. Działo się to w ostatnim czasie w Po-

znańskim. U doktora C. w Strzelnie, służył za woźnicę poddany ruski, z powodu rugów bi-markowskich udał się do Ameryki. W parę lat później, p. C. otrzymał list, w którym dawny sługa donosił że zebrał sobie trochę grosza a że bardzo tęsknił się, chciałby powrócić do kraju koniecznie. Doktor odpiisał, namawiająco do dalszego czekania za zmianą prawa o zagranicznych poddanych, ale namowy jego nie odniosły skutku,—uczucie tęsknoty przemogło wszystkie inne względy. Najpierwej przysły pieniądze 4000 marek, a potem zjawił się sam wychodziec, zdecydowany do osiedlenia się w Galicji. W Poznańskim fakty podobne wioją się powtarzają, jedni wychodzą—drudzy wracają, i z tej to przychyni, mimo tak znacznego wychodźstwa,—ludność nie zmniejsza się. Brak robotnika, dający się czuć tak mocno właścicielom folwarków, pochodzi ząd, że z bogaceni wędrowiec nie poszukuje już służby, tylko osiedla się na własnym gospodarstwie. Z tej przychyni nie wytwarza się tam zbyt liczny proletaryjat rolny, niema tych rozdrobień własności, które gubią u nas rolnictwo. Można mieć nadzieję że pozwolenie rządu pruskiego na przyjmowanie robotników obcokrajowców zapobiegnie niedogodnościom trapiącym własność większą i otworzy upływ dla tutejszego proletaryjatu, a tym sposobem wychodźstwo do Brazylii w pewnej mierze zatrzymane zostanie.—A. M.

Z Kaliskiego. (Kor. „Głosu”).—W *Kaliszaninie* bardzo rzadko można się spotkać z artykułami żywotnymi, któreby czegoś nauczyły o stosunkach miejscowych; nawet o emigracji prawie nie było tam mowy. Dopiero przy końcu grudnia zjawił się artykuł, który pozwala nam wyprowadzić niejaki wniosek. Autor p. Piaskowski jest sam ziemianinem, pisze więc: „u mnie i w wielu innych majątkach, robotnicy pobierają: zasług 18 rs., żyta 6 korcy, jęczmienia 3 korce, grochu 1 korzec, pszenicy 1/4 korca, czyli wszystkiego zboża 10 1/4 korcy; włodarze i owczarze od 24 do 36 rs. i zboża o kilka korcy więcej”. Autor uważa za dostateczne, gdyż, jak powiada, „w niektórych majątkach pobierają po 16 rs. zasług, żyta 5 korcy, a nawet podobno są majątki, gdzie dostają tylko 4 korce żyta, jęczmienia po 1 1/2 kor. lub po korcu, tyleż tataraki i grochu, czyli razem 8 1/4 - 9 1/4 korcy”. Porównawszy wynagrodzenie, jakie pobiera robotnik, z tem, jakie dostaje robotnik w Płockiem, zobaczymy, że tam położenie materialne robotnika wiejskiego, jest bodaj lepsze niż w Kaliskiem; w Płockiem bowiem pobiera on około 10 korcy rocznie zboża, co i tak nie jest wystarczającym. W Kaliskiem emigracja przycichła, ale nie skończyła się zupełnie. Dotąd emigrowali parobcy i najmniejsi posiadacze rolni, chociaż ci ostatni nie wszyscy, lecz tylko mała ilość, większość rekrutowała się z ludzi zupełnie ziemi nie mających. Teraz chwilowo wstrzymała wychodźstwo zima, ale z wiosną na nowo się rozpocznie, bo już obecnie słyhać o wielu zamierzających z wiosną wędrować do Brazylii. Obywatele ziemscy, tracąc tyle rąk roboczych, suszą sobie głowy, co będą bez nich robić. Wolą jednak jeździć za emigrantem, prawic mu kazania na temat miłości ku rodzinnej ziemi, wreszcie udawać się do władz nadgranicznych z prośbą o zatrzymanie „tego bydła”, niż jego byt znośniejszym uczynić. Powstrzymać chłopca od emigracji, może tylko polepszenie bytu materialnego i na to główną uwagę zwrócić winniśmy.—Ksyl.

Płock. Pisma warszawskie donoszą, że p. Zieleniecki, urzędnik do szczególnych poruczeń przy rządzie gubernialnym płockim, został delegowany za granicę do Brazylii, Hamburga i Antwerpii, w celu, jak się można domyślać, zbadania ruchu emigracyjnego, organizacji agencji zagranicznych, oraz poznania środków, jakie przedsięwzięć rząd niemiecki dla zapobieżenia prądowi emigracyjnemu wśród poddanych niemieckich. Piszą również, jakoby tym ludziami, którzy chcieli wyemigrować z kraju, lecz ujęci na granicy zwrócić zostali do miejsc zamieszkania, władze miejscowe starają się dopomóc do otrzymania ruchomości, sprzedanych za bezcen przed wyjazdem. W sądach gminnych toczy się z tego powodu mnóstwo spraw, wywołanych przez policję, przeciwko różnym przekupnikom i spekulantom wiejskim.

Z CESARSTWA.

Mińsk gubernijalny. (Kor. „Głosu”). Do istniejących już u nas towarzystw i instytucji dobroczynnych, wkrótce przybędzie nowe p. t. *Chrześcijańska Rodzina*. Nowe to stowarzyszenie będzie miało na celu opiekę nad podzirkami i dziećmi niemającymi przytułku. —Gdy ustawa tego towarzystwa będzie już ostatecznie zrehabilitowana, wówczas powrócę do tej sprawy na nowo, obecnie tylko nadmienię, iż inicjatorem tego projektu jest pan Władysławlew, jeden z miejscowych filantropów. Przypuszczam, iż redakcyja ustawy wypadnie w ten sposób, że nowe Tow. będzie uzupełnieniem istniejących, gdyż jest to jedyny racjonalny sposób stwarzania stowarzyszeń o wspólnych lub pokrewnych zadaniach. O ile wiem, *Rodzina chrześcijańska* ma zająć się zakładaniem odpowiednich instytucji, przy tej więc okazji—przypominam o nierównie ważnej i potrzebnej sprawie insty-

tutu położniczego dla biednych, o który w swoim czasie miejscowa doktorka pani Sztange tak słusznie, a tak bezowocnie, dopominała się u mieszczan —K. P. Rewera.

Petersburg. W przeglądzie roku zeszłego *Kijewlanin* podaje ciekawy opis rozkładu dawnych „stronictw literackich” w Rosyi. Słowianofilstwo umarło wraz z Aksakowem, próby wskrzeszenia go, podejmowane przez Szarapowa i Łamańskiego, zawiodły. Liberalizm również utracił swą dawną popularność. *Więstnik Jewropy* cieszy się wprawdzie powodzeniem, ale zawdzięcza to dobrej redakcyi, nie zaś kierunkowi. Wreszcie konserwatyzm, przedstawiany niegdyś z takim talentem przez Katkowa, rozpadł się na kilka części nie mających większego znaczenia (*Ruskij Więstnik*, *Ruskoje Obozrenje*, szlachecko-konserwatywny *Graźdanin* i t. d.).—Komisyja ks. Wołkońskiego zajęta jest obecnie kwestyją skrócenia ilości godzin pracy uczniów w gimnazyjach i szkołach realnych. Według zebranych przez komisję danych, uczący się dwóch języków obcych mają tygodniowo 22 lekcye w klasie przygotowawczej, 23 w I, 28 w II i 29 we wszystkich następnych. Przygotowanie się do lekcji w domu zajmuje przy zdolnościach przeciętnych 2 1/2—3 godzin w klasach I i II, 3 1/2—4 1/2 w kl. III, IV i V, i od 4 1/2—6 w 3 wyższych. Razem stanowi to 6 1/2—11 godzin pracy umysłowej dziennie. Komisyja znajduje, że jest to stanowczo za dużo. Wskutek tego mają być przejrane sposoby wykładu, w ostateczności zaś plany nauk, a także ilość lekcji ulegną skróceniu. Pensyje nauczycielskie, obliczane obecnie po 60 rs. od godziny rocznie, mają być uregulowane inaczej, tak, żeby skrócenie zajęć nie odbiło się niekorzystnie na dochodzie nauczycieli.—W roku ubiegłym upłynęło 25 lat od przejścia szkół elementarnych pod zawiadowanie ziemstw. W ciągu tego czasu zrobiono w gub. petersburgskiej bardzo wiele, wszystkie dzieci w wieku szkolnym uczą się obecnie w szkołach, których liczba wynosi obecnie 544. Wydatki roczne ziemstwa wynoszą 173,571 rs., utrzymanie zaś jednej szkoły kosztuje 640 rs. — Członkowie ziemscy gubernijalnej rady szkolnej mają zamiar zwrócenia się do rządu z prośbą o uwolnienie od kar cielesnych tych wszystkich, którzy ukończyli szkołę elementarną.—Teatr polski zgromadza coraz mniej widzów. —Projektowana przez towarzystwo techniczne wystawa drobnych motorów dojdzie do skutku w takim tylko razie, jeżeli w radzie państwa doczeka się pomyślnego rozwiązania kwestyja używania tych motorów bez wykupowania świadectw kupieckich. Obecnie używanie tych motorów dozwolone jest tylko osobom, do gildyi kupieckiej należącym, stanowi to, zdaniem towarzystwa, największą przeszkodę dla rozpowszechnienia się motorów.—W gub. jekaterynosławskiej daje się czuć głód z powodu nieurodzaju.—W d. 24 b. m. otwartą została sesyja sejmiku fińskińskiego w Helsińgforsie.—Na zjeździe lekarzy w Moskwie, większość wypowiedziała się nieprzychylnie o metodzie Kocha.

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu”). Wobec nagłego i zupełnie niespodziewanego rozwiązania izby poselskiej rady państwa nasze lokalne sprawy weszły na plan drugiej. Wszyscy rozumieją na temat powyższy, po kawiarniach snują motywy, jakie skłonić mogły rząd do tak stanowczego kroku. Pozwolicie zapewne, że poruszę w kilkuset słowach tę kwestyję. Przyczyny rozpisania powszechnych wyborów do rady państwa w Wiedniu już za 4 tygodnie (zamiast w maju) są jasne i wiadome. Rząd chciał a tout prix przeorsować ugodę czesko-niemiecką. Zamiar nie udał się, odpowiedź rządu na wiadomą interpelacyję Skardy, ostateczna deklaracyja staroczechów i usunięcie się 13-u zśród nich od głosowania za podziałem rady kultury krajowej, wreszcie zamknięcie sejmiku tyrolskiego—wszystko to przekonało pp. Taaffego i Dunajewskiego, że żywiły opozycyjne (głównie młodoczesi) biorą górę, że się gotują do majowych wyborów, dla obalenia gabinetu. Celem pokrzyżowania tych planów rząd rozpiął już wybory na marzec. Namiestnictwo zawiadamia, że wybory z kuryi gmin wiejskich, odbędą się 2 marca, z miast 4-go, z izb handlowych 6-go, wreszcie z większej posiadłości—9 marca. My wybieramy z Krakowa dwóch posłów, Lwów również tyłu. Dotąd reprezentowali Kraków pp. Leon Chrzanowski i August Sokołowski. Przebakują już, że stańcyocy, rozporządzający znacznymi kapitałami agitacyjnymi pod maską „spółki wydawniczej”, pragną wystąpić z kandydaturą dla zwalczania Sokołowskiego, liberalni zaś mają przeciw Chrzanowskiemu postawić kandydaturę Weigla. Żydzi gwałtownie oświadczają się za prof. Rozenblatem. Sejmowy klub lewicy ogłosił już odezwę, w której podnosi doniosłość marcowych wyborów do rady państwa na przyszłe sześciolecie, klub stoi na gruncie wyłącznie narodowym, żąda solidarności Koła polskiego w Wiedniu z sejmem, rozszerzenia samorządu, lepszego uposażenia szkół, upaństwowienia kolei Karola Ludwika, decentralizacyi kolei skarbowych, regulacyi rzek i t. d. Pod temi hasłami chce klub rozwinąć akcyję wyborczą. W najbliższych dniach mają się zorganizować komitety wyborcze.—Przechodząc z kolei do naszych spraw miej-

scowych, winieniem zaznaczyć, że były prezes Akademii Umiejętności w Krakowie dr. Józef Majer został mianowany tajnym radcą z tytułem ekscelencji, co ambitnemu staruszkowi osłodziło nieco ostatnie niepowodzenia. — Z początkiem marca b. r. zaczęło tu wychodzić miesięcznik, poświęcony wyłącznie literaturze, sztukom pięknym i teatrowi p. t. „Mysł”. Komitet redakcyjny nowego czasopisma tworzą pp. Bornsztajn, Dobrowolski, Ehrenberg, Hosiak i Tetmajer. Jako redaktor odpowiedzialny podpisywał ma „Mysł” p. Józef Bornsztajn. — Namiestnictwo nie zatwierdziło ustnie fundacyjnego domu akademickiego, jaki przedłożył zeszlóroczny obywatelski komitet, pod przewodnictwem rektora Korczyńskiego obradujący. Jako główny powód odmowy wymienienia namiestnictwo: niedostateczność funduszy na cele „domu” zebranych. — Frekwencja słuchaczy na wszechnicy krakowskiej od lat blisko 40-tu przedstawia szereg zajmujących cyfr. W r. 1854 miał nasz uniwersytet 175 uczniów, odtąd liczba ich wzrastała i w r. 1868 dosięgła cyfry 400. W r. 1870 podniosła się do cyfry 670 i doszła stopniowo do liczby 1066 w r. 1885 a 1227 w r. 1887. Z tym terminem ustalił przyrost, obecnie zaś uniwersytet nasz liczy 1100 słuchaczy. Fundacyj dla uczącej się młodzieży posiada Galicyja 190, a mianowicie 54 zarządzanych przez namiestnictwo i 136 przez wydział krajowy. Wszystkie fundacje reprezentuje kapitał około 800,000 złr. — odbyła się tutaj aukcja pod przewodnictwem prezydenta miasta w sprawie utworzenia w Krakowie centralnej targowicy dla bydła stacyi konsumcyjnej. Dzienniki nasze niezmiernie się cieszą, z powodu uchwały aukcji, że Kraków jest jedynym miejscem na urządzenie podobnej stacyi. — *Voz.*

Lwów. (Kor. „Głosu”). Rozwiązanie izby poselskiej rady państwa w Wiedniu i rozpisanie powszechnych wyborów na pierwsze dni marca zniewała już poszczególne stronnictwa do organizacyi wyborczej. Lwów reprezentowali dotąd w radzie państwa: Smolka i Lewakowski, a zdaje się, że ci ponownie wybrani zostaną. — Wydział krajowy uchwalił w ostatnich dniach, aby na podania ruskie do wydziału wnoszone, odpowiadano nietylko w języku ruskim, lecz i ruskim skoropisem. Wydział rozpiął onegdaj konkurs dramatyczny z terminem prekluzyjnym po koniec września 1891 r. — Tygodnik kołomyjski „O własnych siłach” donosi, że obecny wiceburmistrz Kolomyi Josef Funkenstein skazany został na 100 złr. grzywny, albo 30 dni aresztu za pokątne doradztwo (sic!). Tacy ludzie piastują w naszych miasteczkach obywatelskie urzędy! — Wybory w izbie handlowej brodzkiej unieważniono, z powodu wykrytych nadużyć. — Proces t. z. ruskiego komitetu głodowego przeciw ks. Siczynskiemu o obrazę czci został odroczone. Skarżących zastępuje adw. Horowitz. — Ks. St. Stojałowskiemu zasądził trybunał wyrokujący na trzy miesiące więzienia. Obrońca pralata wniósł rekurs. — Rektorem Wszechnicy Lwowskiej, zamiast zmarłego Staneckiego, obrany został profesor literatury polskiej dr. Roman Pilat. — *Lambda.*

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Ogromne wrażenie wywołało w całej Austrii zupełnie niespodziewane rozwiązanie izby poselskiej rady państwa. Tajemnica urzędowa w tym razie zachowana została doskonale i tym większe zdumienie ogarnęło obywateli monarchii, że rozwiązana rada państwa nie zdążyła uchwalić jeszcze budżetu na rok bieżący. Dzienniki urzędowe do patentu cesarskiego dodają komentarz, że wybory dać winny większość żywiłom umiarkowanym i patryjotycznym, co w Austrii znaczy — uległym rządowi. Przyczyną tego niespodziewanego postępku kryją się w niepowodzeniu przedsięwziętej tak pompatycznie ugody czesko-niemieckiej. Gabinet Taaffego pobity tak haniebnie musiał albo się usunąć, albo też zmienić taktykę. Wybrał on drogę ostatnią i, jak zapewniają dobrze poinformowani, chce wejść w nowe układy i targi z rozmaitymi żywiłami odnowionej już izby. Prawdopodobnie część dzisiejszej opozycyi niemieckiej, z Chlumetzkym na czele przejdzie do większości rządowej, z której być może odpadną czesi. Polacy, jak zapewniają dzienniki, nie na tem stracą, bo pozostaną oni i nadal w szeregach rządowych. Samo rozwiązanie izby nastąpiło po porozumieniu się rządu z prezesem koła polskiego, p. Jaworskim. Rzecz można, że cała odpowiedzialność za przyszły zwrot w polityce wewnętrznej Austrii spadnie na polaków, od których jedynie zależało zezwolić nań, lub mu się oprzeć. Wybory do nowej izby odbędą się w początkach marca.

Patent cesarski pozostaje w bezpośrednim związku z obradami sejmiku praskiego. Projekt o podziale rady gospodarczej przyjęty tam został w trzecim czytaniu, wnet jednak potem staroczesi wnieśli rezolucyję, w której wyrazili swe przekonaniu o nierozdzielności trzech ostatnich punktów „ugody”. Oświadczyli oni, że wówczas tylko głosować będą za podziałem sejmiku na kurye

narodowe i za podziałem koła wyborczego wielkich posiadaczy, t. j. za najważniejszymi ustępstwami na rzecz Niemców, jeżeli jednocześnie wnieśli rząd projekt nowej „ordynacyi wyborczej”, czyli nowego podziału Czech na okręgi, który zapewni narodowości czeskiej na czas nieokreślony liczącą przewagę w sejmie. W rezolucyi tej staroczesi oskarżali Niemców o brak lojalności i o przeszkody, stawiane ugodzie, natomiast Niemcy w odpowiedzi swej zarzucaли staroczechom złamanie słowa. Bądź co bądź ugoda odłożona została na czas nieokreślony i zapewne w obecnej swej formie nie przyjdzie już nigdy pod obrady. Jakkolwiekbyśmy sądzili zachowanie się staroczechów, zanotować musimy, że w innych rzeczach dotrzymują oni słowa, kilku ich przedstawicieli w wydziale krajowym podało się do dymisji i na ich miejsce wybrano 2 Niemców. Z drugiej strony zaznaczyć trzeba, że Niemcy nie usunęli się od udziału w wystawie, komitet bowiem wystawowy ogłasza, że 696 firm niemieckich złożyło odpowiednie deklaracje.

Również niespodziewanie, jak rada państwa, rozwiązany został sejm tyrolski. Za ledwie sejm uchwalił wniosek, przyznający pierwszeństwo rozprawom nad udzieleniem autonomii południowej, włoskiej części Tyrolu, czyli t. zw. Trentino, gdy podniósł się namiestnik i przeczytał patent cesarski, rozwiązujący sejm. 25-ciu deputowanych włoskich podało się z tego powodu do dymisji.

W sejmie pruskim rozpoczęły się obrady nad nową ustawą obroczną, według której fundusz 16,009,332,02 marek, powstały z niewyplaconych duchowieństwu katolickiemu podczas kulturkampfu pensyj, zwrócony być ma dyjecezyjom dla zaspokojenia słusznych pretensyj instytucyj i osób. Komisye, wyznaczone przez biskupów, będą tu stanowiły rezolucyje ostateczne. Pozostałe sumy użyte będą na cele dyjecezyjne (na emerytury, wsparcia dla duchowieństwa i t. d.). Za ustawą przemawiali katolicy, polacy i przedstawiciel wolnomyślnych Rickert oraz część zachowawców, inni konserwatyści i nacjonal-liberały wyrażali swe niezadowolenie. Szczególną zacieklność okazał pastor Stöcker, który zapewniał, iż pieniądze użyte będą przez kościół katolicki na agitacyję wyborczą i zgębnienie protestantyzmu. Zatarę między rządem a zachowawcami w sprawie nowej ustawy gminnej załagodzony będzie na drodze kompromisu. W parlamencie niemieckim nie było rozpraw ważniejszych, niebawem jednak wejdzie na porządek dzienny prawodawstwo społeczne.

Komisya parlamentarna, opracowująca projekt nowej ustawy przemysłowej, złożyła już izbie sprawozdanie o bezrobociach w pierwszym kwartale 1890 r. W tym czasie zdarzyło się w całym cesarstwie 1,131 wypadków świętowania, za które uznano wszelkie solidarne bezrobocia, w jakich przyjęło udział przynajmniej 10-ciu robotników. Ogółem świętowało 394,446 robotników. W 187 wypadkach zakończyło się bezrobocie zupełnem, w 468 częściowem zwycięstwem robotników. W 420 wypadkach robotnicy nie osiągnęli żadnych ustępstw.

Skandaliczna sprawa, podjęta przez Richtera o niewniesienie przez b. ministra Luciusa 30,000 marek, należnych kasie państwa za ustanowienie majoratu, zakończyła się złożeniem tej sumy przez Luciusa do rąk cesarza.

Nadzieje torysów angielskich, że rozterki w opozycyi, wywołane przez sprawę Parnella, przyniosą im wielkie korzyści, nie sprawdzają się. Na ostatnich wyborach w Hautlepool kandydat unionistowski pobity został przez gladstończyka Furnessa. Co się tyczy spraw stronnictwa irlandzkiego, to dotąd nie ułożyły się one ostatecznie. W Boulogne, dokąd przybył z Ameryki Dillon, odbędą się nowe konferencyje, w których przyjmie udział Mac Carthy ze swym nieodstępny m Sextonem.

Po za sprawami politycznymi, a raczej przed nimi zajmuje uwagę publiczną w Anglii nędza mas, które wskutek surowej zimy doszła do niebywałych rozmiarów. Bezrobocie robotników na kolejach szkockich dotąd nie jest ukończonem. Opinia publiczna staje obecnie wyraźnie po stronie strejkujących. Stalo się to naprzód wobec odrzucenia przez towarzystwa wszystkich sędziów polubownych, a byli pomiędzy nimi książę Edyuburski, dygnitarze parlamentarni i municypalni, wybitni członkowie duchowieństwa, przedstawiciele nauki. Robotnicy dowiedli przytem, że pracowali regularnie po 12 godzin, a czasami po 16, 18 a nawet 21 godzin. Takie przeciążenie pracą potępianiem jest powszechnie i żądania robotników (10 godzin pracy dziennie i podwyżka o 25% płacy za godziny dodatkowe) wydają się umiarkowanymi.

W d. 23 zmarł po krótkiej chorobie, której tragicznego końca nikt nie przewidywał, następca tronu belgijskiego a synowiec królewski ks. Baldwin. Prawa do tronu przechodzą do ostatniego męskiego potomka dynastyi, ks. Alberta, młodszego brata zmarłego, a syna hrabiego Flandryi.

Niemiecki agent dyplomatyczny w Sofii przesłał notę ministrowi Grekowowi, w której uskarża się na to, że Bułgaryja daje przytułek nihilistom i zbrodniarzom politycznym. Żądanie to poparte, jak się zdaje, zostało przez inne mocarstwa.

Konstytuanta brazylijska przyjęła prawie bez zmiany

przedstawiony projekt konstytucyi, udzieliła jednak nagany rządowi tymczasowemu za niektóre jego czyny, wskutek czego cały gabinet podał się do dymisyi.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Rozporządzenia rządowe.** Pomocnicy inspektorów wyższych zakł. nauk otrzymają ulgi, zawarte w art. 63-im ust. o powinności wojskowej. — W celu zapobieżenia fałszowaniu piwa ma być rozciągnięta nad browarami ścisła kontrola. — Senat zdecydował, że w odległości 5 wiorst od granicy zachodniej żydzi mogą mieszkać w miasteczkach, do których zostali zapisani przed 1858 r.

— **Życie społeczne.** Generał armii zbawienia, Booth, zebrał na osady dla nędzarzy 84,000 f. st. — W promieniu dwumilowem miasta Opola wszystkie kwestyje serwitutowe zostały załatwione. — Ks. Szalowi w Poznańskiem wytoczono proces za to, że nie podpisuje się „Schaal”. — Przeszło 40 robotników fabrycznych (Warszawa—Praga) postanowiło nie pić wódki i piwa. — W Kołomyi (Galicyja) zawiązało się tow. pracy kobiet; — w Sulkowicach urządzony został wzorowy warsztat kowalski. — Bezrobocie górników w kopalniach Kramsty, spowodowane obniżką płacy, trwało od 15 do 22 bieżącego miesiąca, z tej samej przyczyny robotnicy z fabryki blachy cynkowej pol. Będzinem przestali pracować. — Ma być wypracowany przez komisję min. spr. wewnętrznych racjonalny typ mieszkań dla robotników fabrycznych. — 50 osób z Górnego Szlązka nawracają w Afryce kafrow, którym nadają polskie nazwiska i imiona; założyli też 2 pisma polskie: „Niezapominajki” i „List św. Józefa”. — W Hiszpanii istnieje dotąd spółki współdzielcze (Companias Gallegas, rodzaj „zadrug” Słowiańszczyzny południowej), które, acz nieświadomie, biorąc za podstawę wynagrodzenia ilość zużytej pracy. — Z funduszu małżon. Rostworowskich przeznaczono w r. b. 80 wsparć po 30 rs. na rzecz ociemniałych. — Ilość obsługi domowej w Warszawie wynosiła w r. z. 45,000 osób. — Na rzecz zamierzonego bazaru rzemieślniczego zebrano dotąd 5,000 rs., — potrzeba zaś 10,000 rs. — Oddział Warszawskiego banku włościańskiego otrzymał do dnia 13 b. m. 19 podań o kupno ziemi. — Petycya lorda-majora Londyńskiego w sprawie żydów ruskich została przez odnośne władze odrzuconą. — „Kassa zjednoczenia” kolei Warszawsko Wiedeńskiej liczyła w r. z. 3622 członków i 2,479,602 rs. kapitału. 400 wdów i 209 sierot otrzymywało emerytury i wsparcia. — Spraw, wniesionych do sądu handlowego w Warszawie, było w r. z. o 600 prawie więcej, aniżeli w 1889-ym. — P. policmajster m. Lublina zanknął miejscową resursę z powodu nieprzyjęcia w właściwym czasie ustawy normalnej, obowiązującej kluby w Królestwie Polskiem. — Spółka ziemiska w Poznańskiem nabyła 417 hektarów. — Specyjalna komisya w Petersburgu pracuje nad przepisami przeciw fałszowaniu produktów spożywczych. — W gub. Lubelskiej 1 ksiądz wypada na 2,860 katolików, w Siedleckiej na 2,938. Wszystkich księży z dycezyi Lubelskiej jest 386. — Spółka 46 włościan nabyła dobra ks. Hohenlohe, położone w pow. Będzińskim. — Hr. U. Golejewska we Lwowie zapisała cały swój majątek na utrzymanie nieuleczalnych chorych.

— **Kronika ekonomiczna.** Wskutek nowej ustawy o normowaniu produkcyi okowity (na korzyść małych gorzelni) ceny jej idą w górę, produkcyja i wywóz zmniejszają się. — Ministerjum finansów postanowiło zawierać traktaty handlowe z każdym mocarstwem oddzielnie. — Dawniejsze ulgi taryfowe na kolejach zostały prolongowane do dnia 13 kwietnia b. r. — Dług m. Krakowa wynosi 3,000,000 złr. — Komisya senatora Plewego opracowuje projekt kredytu rolnego, któryby pozwalał producentom przetrwać okres niskich cen. — Budżet m. Piotrkowa wynosi 48,000 rs. — Poruszona została w ministerjum skarbu i dóbr państwa kwestya doprowadzenia cen machin i narzędzi rolniczych do możliwego minimum. — Pomimo niedawnego krachu banki londyńskie dały dywidendy nie mniejsze, niż w latach poprzednich. — Studya nad przeprowadzeniem kolei z Białegostoku do Łomży i Ostrołki; oraz z Małkini do Ostrowca i Łomży zostały ukończone. — Nowa taryfa dla mączki i rafinady cukrowej (z Warszawy do Petersburga) ma być powiększoną o 50 i 200%. — Ludność, długi państwowe i ciężary podatkowe 7-miu mocarstw: Francyi, Austrii, Anglii, Rosyi, Niemiec, Hiszpanii i Włoch powiększyły się w ciągu 6-ciu lat (1882—1888) odpowiednio na 5,6—10—i 9,15 procentów; wydatki na cele wojenne wynosiły 975 milionów fun. st. — Od czasu uwłaszczenia włościan obywatele ziemscy w Rosyi otrzymali od rządu 439,000,000 rs. od rozmaitych banków 662,000,000, ciężące zaś na nich długi wynoszą 711,280,000 rs. — Osuszenie 1,400,000 dzies. lasu na Pińszczyźnie zwiększyło wartość jego w 50 razy (z 6—do 300 mil.). — Projektowane połączenie Dźwiny z Dnieprem (pomiędzy Orszą i Witebskiem), obliczone na 10 mil. rs. ma być

nieudzielnione przed 1894. — Z ogólnej sumy 46,379,000 rs. udzielonych włościanom pożyczek, przeszło na własność Banku Włościańskiego ziemi na rs. 5,708,364. — bank ziemski Kijowski zlicytował dobra Lubocz (g. Podolska) zaległość, wynoszącą 1,000 rs. — W Poznaniu zawiązała się spółka meljoracyjna. — Prawo propinacji w gub. południowo-zach. ma być zniesionem. — Na mocy uchwały zjazdu okręgowego rolników w Kijowie w 1890 r. parceset typowych majątków kraju południowo-zachod. zostało zbadane i opisane. — Z powodu utrudnionej eksploatacji i komunikacji zapasy węgla w wielu miejscowościach fabrycznych są na wyczerpaniu. — Nie-doborów podatkowych ciążyło w sierpniu r. z. na mieszkańców g. Plockiej ogółem 232,117 rs., mianowicie: obywateli ziemskich 153, włościanach 43 i mieszczanach 84,000 rs. — Towarzystwo dobroczyńców w Lublinie utrzymywało w r. z. 45 starców i kalek; do 2-ech ochron uczęszczało 183, dzieci z których 87 otrzymywało pożywienie. — Opracowany został projekt nowej organizacji policji wiejskiej. — Podniesiona została ponownie kwestya pomocy lekarskiej dla rzemieślników. Za 2 rs. rocznie rodzina ma mieć zapewnioną pomoc lekarską i aptekę. — Urzędnicy kolei nadwiślańskiej żądają uregulowania sprawy emerytalnej, obecnie nader uciążliwej. — Z prawa głosowania korzystają: we Francji 27 proc. ludności, w Niemczech 20, Anglii 14, Belgii tylko 2, to że agitacja w celu zaprowadzenia powszechnego głosowania staje się tam coraz energiczniejszą.

— **Szkoly i oświata.** Na utworzenie wydziału lekarskiego Lwów ofiaruje 30,000 złr. i plac. — État na 50 wychowawców Instytutu moralnie zaniedbanych dzieci w Mokotowie wynosi: dochód 8,300 rs. rozchód 10,406 rs. — Kuray dla gorzelanych mają być otwarte przy Muzeum przemysłu i rolnictwa a środki zebrane drogą składek od właścicieli gorzelni. — W Petersburgu czynione są starania około zwołania drugiego międzynarodowego kongresu w kwestyi wykształcenia profesjonalnego i technicznego. — Do szkoły rzemiosł w Warszawie uczęszczało w r. z. 192-oh uczni, wydatki wynosiły 12,163 rs. Ogólna wartość pomocy naukowych, sprzętów i narzędzi w 5 warsztatach szkolnych wynosiła 4,640 rs. uczniowie wykonali robót za 1585 r. — Węgierski minist. ośw. Czaky wręcza oświadczył, że projektowane ochrony dla dzieci mają na celu wynarodowienie dzieci słowiańskich. — W poście ma być urządzony szereg popularnych odczytów dla rzemieślników. — „Biblioteka Warszawska” skończyła obecnie 50 lat istnienia. — Przy gimnazyjach męz-

kich i żeńskich w Lublinie utworzone zostały nowe, specjalne posady nauczycieli religii prawosławnej. — Projektowane szkoły fabryczne mają się składać z dwóch oddziałów: ogólnego i specjalnego. — Kuratorowie okręgow naukowych obradują w Petersburgu nad zastosowaniem w gimnazyjach nowych planów i programów nauk. — Nowe przepisy o szkołach elementarnych mają być zatwierdzone przed zimą b. r. — W wielu miejscowościach Rosyi włościanie proszą o zamianę szkół ludowych na niższe rolnicze z dodatkową nauką kowalstwa. — W wielu szkołach żeńskich w Szwecyi zaprowadzono praktyczną naukę kucharstwa.

— **Literatura i sztuka.** P. S. Żółtowski wydał rozprawę doktoryzacyjną: „Die finanzen des Herzogthums Warschau (1806—1815)“, opartą na źródłach archiwalnych. — W ciągu ostatnich 4 miesięcy r. z. teatr krakowski wystawił 42 sztuki, z których połowa tłumaczonych. — K. Pułaski wydał ciekawy szkic historyczny „Z życia ks. Kurońskiej“ (1769—1772 r.). — „Tydzień Piotrkowski“ od Nowego Roku wychodzi w formacie zwiększonym. — Prof. Brückner odnalazł w Bibliotece Petersburskiej nieznaną dotąd wiersze i kazania polskie z XV w. — Lwowski wydział krajowy ogłosił konkurs dramatyczny. Nagrody 500 i 250 złr. Termin — koniec września. — „Podręcznik geologii“ Dana w tłumaczeniu J. Siemiradzkiego wyszedł z druku. — W Warmii istnieją obecnie dwa pisma ludowe: „Nowiny warmińskie“ i „Gazeta olsztyńska“. — Odnaleziono rękopis Arystotelesa, o historii konstytucji Aten, z seryi 158 rozpraw o formach rządu. — Restauracja teatru wielkiego będzie ukończoną w październiku b. r. Koszta wyniosą 650,000 rs. — Niektóre nowelle J. Łętowskiego zostały przełożone na język niemiecki. — Gazeta sądowa zamieściła spis dzieł prawnych, wydanych w r. z. — E. Poręmbowicz odkrył w Bibliotece Jagiellońskiej zbiór nader rzadkich książek hiszpańskich.

— **Rozmaitości.** W Chicago zamierzają urządzić stałą komunikację powietrzną (balonami z metalu glinu) z New-Yorkiem. — O zaszyłych z różnych powodów przerwach w komunikacji kolejowej mają być dawane specjalne ogłoszenia. — Podczas wybuchu w jednej kopalni węgla z okolic Charkowa zginęło 48 robotników. — Koppelman, krawiec z Piotrkowa, obecnie kroi kurty mieszkańcom Honolulu (wyspy Sandwich). — Dr. Bujwid ogłosił, że odkrył środek analogicznie działający z kochiną. — Wybuch w kopalni węgla „Hieberta“ (westfalja): zabitych 52, rannych 35. — Orzech kokosowy ma być zna-

komitem lekarstwem od solitera. — Z Francji, nawet z Włoch, Hiszpanii dochodzą wieści o mrozach (do 20° C) zamieciach śnieżnych, zamarzeniu rzek i jezior, oraz o licznych ofiarach w ludziach. — Między Wiedniem a Pesztem ma być wybudowana kolej elektryczna.

— **Nekrologija.** Werhulst, kompozytor melodji religijnych, zm. w Brukseli. — A. Millet rzeźbiarz, zm. w Paryżu. — Schmidt, słynny budowniczy, zm. w Wiedniu. — Oberländer, uczony geograf, zm. w Lipsku. — Andrzej Brzeziński, znany prawnik, zm. w Warszawie. — M. Krupowicz, historyk, młodszy cenzor, zm. w Warszawie.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. W. A. z pod Gr. Serdeczne dzięki; postaramy się dać w przyszłym numerze. Radzibyśmy mieć adres dla listownego porozumienia w przyszłości.

P. Koł. w Łagowie. List pański otrzymaliśmy 23-go b. m. Komplet wysłane.

P. Oufu. w Muromie. 2-gi zeszyt Inst. Polit. Sp. dołączyliśmy do N. 4 „Głosu”.

P. Głod. w Aleks. Bellamy wysłany, z przesyłką kosztuje 75 kop.

Pani Urb. w Rytwo. Za „Kubę Gąs. i Głos“ I kw. należy się nam 2 rs. 40 k.

Tow. Polit. we Lwowie. Nr. 51 powtórnie wysłaliśmy.

P. Dziek. w Kijowie. Adres poprawiliśmy. „Ruch“ nie wychodzi.

P. P. w Kar. Ustępstwa robimy niezamierzonym na iob wyraźne i umotywowane żądanie.

P. A. Brzez. w Sosn. Dzieła Ward'a (po angielsku) w księgarniach nie ma. Można wypisać. Co do p. B. — zgadzamy się. Chodzi nam głównie o rozpowszechnienie wydawnictwa.

P. Zabł. w Pac. Dalszego ciągu „Typów“ nie możemy drukować.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: ulica Niecała Nr. 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu, opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedia Encyklopedia Encyklopedia

E. H.

Humoru Humoru Humoru

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej w odstępkach tygodni.

Wyszedł z druku zeszyt XXXIII.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga Plato v. Reussnera

NAJLEPSZA METODA

do nauczenia się bez Nauczyciela czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-oh miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Cena metody niemieckiej kurs niższy kop. 60 — w oprawie kop. 75 — kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs niższy kop. 75. Najlepszy Elementarz Polsko-Niemiecki z wymową, z 14 wzorkami pisma i 20 rycinami kop. 35, 30, 15 i 7½. Oprawny kop. 45. Najnowszy Elementarz Polski z wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem 340 Figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi kop. 25, 15, 10 i 5. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po kop. 15.

Skład główny u autora (P. v. Reussnera) ulica Marszałkowska Nr. 142 w Warszawie.

Nowy Świat Nr. 31 (Róg Chmielnej) Najtaniej

Zegarki złote, srebrne, niklowe i stalowe najcenniejszych fabryk Genewskich jako nowość, nakręcające się co 8 dni. Zegary stołowe i ściennie. Szkatułki samogrające

Biżuterja złote i srebrne najnowszych fasonów, oraz wszelkie reperacje poręcza się na lat dwa. Zamówienia z prowincyi wysyła się za zaliczką pocztową. Cenniki franco.

12—12

M. POZZI
W WARSZAWIE

Nr 31 NOWY ŚWIAT ROG CHMIELNEJ Nr 31

WINA KRYMSKIE i KAUKAZKIE
UZNANEJ DOBROCI

począwszy od 30 kop. jako też analizowany jako prawdziwy wyrób wina i przez powagi lekarskie zalecany,

COGNAC
KRYMSKI

Kuracyjny poleca Skład Win BRACI KEMPNERÓW Długa Nr. 5.

1/1 but. rs. 1,50, 1/2 but. 80 kop.
1/1 but. rs. 2,50, 1/2 but. 1,25

DOSTAWCA DWORU
Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



Niszczy grzybek drzewny i osusza wilgoć raz na zawsze i t. p.

Broszurkę, niezbędną dla każdego budującego wyślemy franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER
Królewska Nr. 39.

DIWANY wszelkie pokrycia meblowe, Kołdry, Kapy, Chodniki, Serwety, najlepiej kupować w głównym składzie Giełżyńskiego, Marszałkowska 137.

Nakładem redakcyi „Głosu“ wyszło z druku nowe wydanie słynnej powieści Edwarda Bellamy'ego

W ROKU 2000

ozdobione portretem autora i uzupełnione rozdziałem dodatkowym.

Cena 60 kop.

Nakładem Głosu wyszło z druku dzieło

Herberta Spencera
pod tytułem

INSTYTUCYJE OBRZĘDOWE

tłumaczone z oryginału przez

J. K. Potockiego.

Cena rs. 1 kop. 30.

Dla prenumeratorów „Głosu“ rs. 1, oraz I i II zeszyt

Instytucyj Politycznych

Herberta Spencera

w tłumaczeniu J. K. Potockiego

Cena 80 kop.